TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

ODKRYWCA

NR 9(15) PAŹDZIERNIK 1999 ROK II ISSN 1505-6104 CENA 5,00 PLN

w numerze:

Wystawa „Odkrywcy"

Następna tajna lista

Prywatne muzeum broni

X Zlot Miłośników Eksploracji

Jerzy Kostrzewa w drodze po Koronę Ziemi

Szukam, szukania mi trzeba...

SZUKAM, SZUKANIA MI TRZEBA...

Nazwij to, jak chcesz – ciekawością, niepokojem, wewnętrznym imperatywem. Jakkolwiek nazwiesz, chodzi o to samo: o niewytłumaczalną a przemożną potrzebę szukania – skarbów, sensu, tajemnicy, prawdy, wartości, sposobu na życie... Dopóty żyjesz, dopóki idziesz, szukasz, czekasz, marzysz...

Drodzy Czytelnicy!

Zamierzamy zorganizować konferencję dotyczącą podziemi w Kamiennej Górze i okolicach. (Podobne spotkanie, poświęcone Górom Sowim, odbyło się w lutym ubiegłego roku w Sierpnicy.) Osoby zainteresowane tematem prosimy o kontakt.

Tak jak zapowiadaliśmy, „Odkrywca" ma znów o cztery strony więcej. W najbliższym numerze znajdziecie Państwo podsumowanie sezonu archeologicznego w Polsce. Postaramy się systematycznie informować o najnowszych badaniach i odkryciach w tej dziedzinie. Aby zapewnić naszym Czytelnikom wiadomości z pierwszej ręki, zwróciliśmy się z propozycją współpracy do wszystkich instytutów archeologicznych w kraju. Mamy nadzieję, że współpracę taką podejmą i będziemy mogli przekazywać Państwu wszelkie aktualności.

Miło nam powiadomić, że eksploratorzy mają już swój samochodowy znak identyfikacyjny; szczurek z wykrywaczem przylgnął do pojazdów, którymi przyjechali na wrześniowy zlot miłośnicy eksploracji. Znaczek otrzymają również w upominku nasi Prenumeratorzy. Poza tym będzie osiągalny na spotkaniach, w których weźmie udział „Odkrywca".

A skoro o zlocie mowa, to spieszymy donieść, że pojawiła się kolejna grupa poszukiwawcza – Strzegomskie Stowarzyszenie Historyczno-Poszukiwawcze. Obiecali, że wkrótce napiszą o swojej działalności. Czekamy!

Z eksploratorskim pozdrowieniem –

Redakcja

Wojanów-Bobrów. Tu odbył się X Zlot Miłośników Eksploracji. (Czytaj na str. 6.) Piękny niegdyś zameczek ma być odrestaurowany. Prace już się rozpoczęły.
fot. Marek Dudziak

GDZIE MOŻNA KUPIĆ „ODKRYWCĘ"

W sklepach sieci EMPiK, „KOLPORTER" i DPJ w całej Polsce oraz:

Bydgoszcz – Muzeum Tradycji POW, ul. Czerkaska 2
Chełm – „Militaria", ul. Pijarska 3
Częstochowa – Antykwarnia-Księgarnia „Niezależna", ul. Kopernika 4
Dukla – Muzeum Historyczne – Pałac w Dukli, ul. Trakt Węgierski 5a
Gdańsk – Sklep „Militaria", ul. Czerwony Dwór (targowisko)
Gdynia – „Denar", ul. Lipowa 6A/17
Kraków – „Arsenał", ul. Floriańska 20
Biuro Usług Turystycznych „Gacek", ul. Wł. Bandulskiego 16/11
Krosno – „Army Shop", ul. Piłsudskiego 18
Łódź – Księgarnia Wojskowa, ul. Tuwima 34
Osowiec – Twierdza (kontakt: Mirosław Worona)
Poznań – Księgarnia „Dobra Książka", Plac Wielkopolski; Księgarnia „Militarium", ul. Libelta 3
Przemyśl – Wojewódzki Ośrodek Inf. Turyst., ul. Władycze 3
Słupsk – Muzeum Pomorza Środkowego, ul. Dominikańska 5-9
Szklarska Poręba – Muzeum Ziemi, Szosa Jeleniogórska 9
Tarnowskie Góry – Kiosk „Gora" – Kopalnia Zabytkowa, ul. Szczęść Boże 52
Warszawa – „Pelta", ul. Świętokrzyska 16
Zabrze – Muzeum Górnictwa Węglowego, ul. 3 Maja 19
Zakopane – Księgarnia Górska, ul. Zaruskiego 5
Zamość – Salon Antyków „Kolekcjoner" s.c., ul. Rynek Wielki 3
Złoty Stok – Kopalnia Złota, ul. Złota 7

ODKRYWCA ISSN 1505-6104

TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

WŁAŚCICIEL TYTUŁU – WYDAWCA: Wydawnictwo „JMK" – Marek Dudziak, 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32
WSPÓŁWŁAŚCICIEL: LM Spółka Akcyjna, 62-510 Konin, ul. Zakładowa 14, tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09, e-mail: bhp@lm.com.pl

REDAKCJA: 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32, tel. (063) 242 82 32, tel./fax 242 82 60; e-mail: odkrywca@lm.pl, dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00
REDAKTOR NACZELNA: Maria Wiatrowska
ZESPÓŁ: Radosław Biczak, Jola Dudziak, Marek Dudziak, Piotr Kurzawa, Kuba Dudziak
ADMINISTRACJA I DYSTRYBUCJA: Ewa Wróbel

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Jacek Biesiadka (Poznań), Grzegorz Franczyk (Kraków), Zbigniew Inglot (Poznań), Zbyszko Janiszewski (Poznań), Sławomir Kordaczuk (Siedlce), Leszek Kotarski (Lębork), Krzysztof Maciejak (Złotoryja), Zbigniew Miler (Gorzów Wlkp.), Zbigniew Rekuć (Warszawa), Bogusław Stańczuk (Giżycko), Mariusz Wojciechowski (Słupsk)

WSPÓŁPRACOWNICY DO SPRAW KONTAKTÓW ZAGRANICZNYCH:
Agata Konińska (język francuski), Katarzyna Michalak (język angielski)

OPRACOWANIE GRAFICZNE, ŁAMANIE, DRUK: Agencja Reklamowa „GRAFIK" s.c., 62-510 Konin, Pl. Niepodległości 1, tel. (063) 243-88-00, e-mail: studio@grafik.pl

Za treść artykułów odpowiadają autorzy. Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

PRENUMERATA

Zasady prenumeraty na rok 2000 ogłosimy za miesiąc. Tymczasem można jeszcze zamówić numery 10(16)/99 i 11(17)/99. Cena jednego egzemplarza wynosi 5 złotych.

NUMERY ARCHIWALNE

Nakład wszystkich numerów ubiegłorocznych (od „0" do 6/98) oraz 1(7)/99 i 2(8)/99 został wyczerpany.
Nie wykonujemy kserokopii.
Do nabycia są jeszcze niektóre numery tegoroczne. Jeden egzemplarz kosztuje 5 złotych. **Przed wysłaniem zamówienia na egzemplarze archiwalne prosimy koniecznie o kontakt telefoniczny** z działem administracji i dystrybucji – tel. (063) 242 82 60 od ponie-działku do piątku w godz. 8.00-15.00.
Prosimy przesłać należność za zamówione egzemplarze **przekazem pocztowym** (wyraźnie zaznaczyć na odwrocie, o które numery chodzi) lub dokonać wpłaty bezpośrednio **na konto:** PKO BP o/Konin 10202746-902450-270-1
Można też zamówić archiwalne numery „Odkrywcy" za zaliczeniem pocztowym, ale jest to najmniej korzystne dla Państwa, gdyż koszt takiej przesyłki (znaczny) musimy doliczyć do ceny zamówionych egzemplarzy.

UWAGA! Bardzo prosimy o czytelne wypełnianie druków i podawanie pełnych adresów. Nie mając nazwy ulicy, numeru domu i mieszkania – nie możemy wysłać Państwu zamówionego czasopisma. Prosimy też o wyraźne zaznaczenie, które numery Państwo zamawiacie (z podaniem roku; np. nr 6/99).

SZUKAJ Z „ODKRYWCĄ"!

Po pierwszej wystawie „Odkrywcy"

Zorganizowana przez naszą redakcję, Muzeum Tradycji Pomorskiego Okręgu Wojskowego oraz Redakcję „Żołnierza Polskiego" wystawa, zatytułowana „Wrzesień 1939 w kolekcjach odkrywców i poszukiwaczy skarbów", została uroczyście otwarta w 60. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej. Na wystawę zgłoszono około stu eksponatów z różnych zakątków Polski. Dużo to i mało. Mało, bo sale Muzeum Tradycji POW mogły pomieścić o wiele więcej, a dużo, gdyż poszukiwacze ciągle jeszcze działają „w podziemiu" i wielu z nich uważa, że przy obowiązujących unormowaniach prawnych dotyczących poszukiwań i kolekcjonowania militariów najlepiej w ogóle nie brać udziału w żadnych oficjalnych imprezach.

Koło napędowe czołgu 7TP

Wszyscy uczestnicy wystawy otrzymali pamiątkowe dyplomy. Ponadto, za wyjątkowo ciekawe i wartościowe pod względem historycznym eksponaty, zostały przyznane dyplomy honorowe, którymi kapituła wystawy wyróżniła:

– **Radosława Statucha i Marka Ratkowskiego** za fragment kesonu cienkościennego skrzydła zewnętrznego samolotu bombowego PZL P-37 „Łoś" patentu inżyniera Franciszka Misztala.

– **Piotra Andrzejewskiego** za koło napędowe od polskiego czołgu 7TP.

– **Szymona Kucharskiego** za wylot kanału wentylacyjnego, pochodzącego z wysadzonego schronu bojowego „Gać" w pozycji ufortyfikowanej „Wizna".

– **Wojciecha Rabczuka** za kolekcję odznak lotniczych wraz z dokumentami.

– **Tomasza Kobylińskiego** za rekonstrukcję stanowiska 20 mm niemieckiej automatycznej armaty przeciwlotniczej wz. 1930 (2 cm Flak 30).

– **Stanisława Sobieszczańskiego** za ekspozycję książek poświęconych wrześniowi 1939 r.

– **Muzeum Tradycji POW** za ekspozycję pamiątek 8 Batalionu Pancernego z Bydgoszczy, w tym m.in. ostatnich znalezisk: proporczyka i znaku pancernego batalionu.

– **Sebastiana Witkowskiego i Macieja Świtałę** za znaczek tożsamości znaleziony na pobojowisku Dębowa Góra w miejscu bitwy 35 PP (9DP), która rozegrała się 4 września 1939 r. W rezultacie kilkudniowych walk pułk, ponosząc straty, przebił sobie drogę odwrotu do Bydgoszczy. Według relacji miejscowej ludności, z korony rozłożystego dębu osłaniał odwrót kolegów samotny strzelec, który poległ ratując innych. Żołnierz ten został pochowany pod dębem, na którym zginął, a po ekshumacji w 1945 r. przeniesiony do zbiorowej mogiły na cmentarzu w Wudzyniu. Obaj poszukiwacze sprawdzili z wykrywaczami miejsce śmierci anonimowego żołnierza – znaleźli łuski od karabinu „Ur" i połówkę nieśmiertelnika strzelca Aleksandra Soroki, któremu zadedykowano całą wystawę „Odkrywcy". Na zbiorowej mogile w Wudzyniu ma być zamontowana tabliczka z imieniem i nazwiskiem Aleksandra Soroki.

Polski pistolet „Vis" z kaburą – dar Józefa Grochowskiego dla Muzeum Tradycji POW

Ci z uczestników wystawy, którzy sobie tego zażyczyli, mieli zagwarantowaną anonimowość. Trudno dziwić się owej ostrożności – militarne zbiory potrafią przysporzyć właścicielom kłopotów.

4 września, podczas uroczystości wręczania dyplomów, miało miejsce niecodzienne wydarzenie – pan Józef Grochowski przekazał na ręce dyrektora Muzeum Tradycji POW ppłk. Wojciecha Zawadzkiego manierkę oraz... polski pistolet „Vis" wraz z kaburą. „Vis" został znaleziony podczas prac melioracyjnych w skarpie jednego z rowów. Pan Józef, który przez wiele lat pieczołowicie przechowywał pistolet w domu, w świetle obowiązujących przepisów do 4 września tego roku łamał prawo, bo posiadał broń bez zezwolenia – nie jest istotne, że broń w takim stanie jak wspomniany „Vis" to obiekt muzealny.

Niemiecka automatyczna armata przeciwlotnicza wz. 1930 (2 cm Flak 30)

Nieżyciowym przepisom poświęcona była konferencja, na której zabrakło, niestety, generalnego konserwatora zabytków lub jego zastępcy – obaj zostali odwołani ze swoich stanowisk, które czasowo pozostają nie obsadzone. Urzędników reprezentowali Maciej Obrembski – konserwator województwa kujawsko-pomorskiego oraz dyrektor Muzeum Tradycji POW ppłk Wojciech Zawadzki, a stanowisko eksploratorów – wszyscy, którzy przybyli na wystawę. Mimo istniejących animozji obie strony zgodnie stwierdziły, że konieczne jest wzięcie udziału w trwającej właśnie dyskusji na temat nowelizacji ustawy o ochronie dóbr kultury. Pytanie tylko, czy nieskonsolidowane środowisko poszukiwaczy zdobędzie się na wystosowanie zbiorowego memorandum i przedstawienie swojego stanowiska. Czasu jest coraz mniej, a okazja niepowtarzalna.

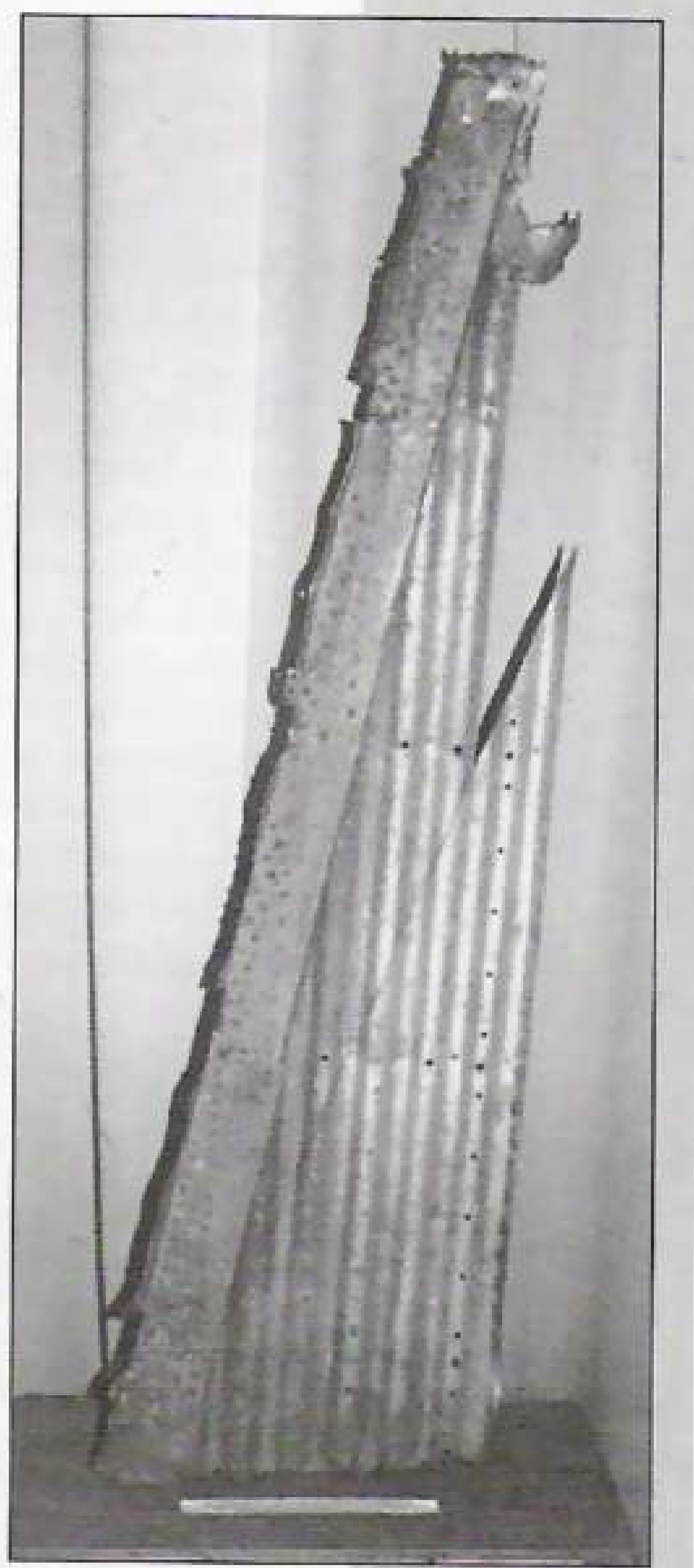

Keson Misztala

Wracając do samej wystawy, to trudno nie uważać jej za udaną, skoro doszło do współpracy na linii muzealnicy – poszukiwacze, skoro światło dzienne ujrzały eksponaty, które śmiało uznać można za białe kruki (keson Misztala, koło od 7TP), a poszukiwacze zaistnieli na muzealnym łonie już nie tylko jako wandale i żądni pieniędzy handlarze. Dlatego ustalono, że pierwsza wystawa „Odkrywcy" nie będzie ostatnią. Wprawdzie nie został jeszcze sprecyzowany temat wystawy w roku 2000, ale na pewno związany będzie z militariami i eksploracją. Już teraz serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału. Prosimy również o nadsyłanie propozycji tematu wystawy. Wypowiedzcie się sami, co chcielibyście zaprezentować na przyszłorocznej – drugiej wystawie „Odkrywcy".

Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak

Rkm „Browning" wz. 28, kal. 7,92 mm

Prywatne muzeum broni

Stanisław Gabryś prowadzi własny zakład ślusarski, w którym oprócz typowej dla tej branży produkcji zamierza wykonywać repliki... armat od XV do XVII w. Pełnowymiarowe, z wszystkimi elementami. A to dlatego, że czterdziestoczteroletni ślusarz ze Świdnicy jest miłośnikiem historii i kolekcjonerem broni i militariów, a teraz także dyrektorem własnego Muzeum Broni i Militariów. To bodaj pierwsza w Polsce zarejestrowana prywatna kolekcja tego rodzaju. W marcu br. Minister Kultury i Sztuki zatwierdził statut i wydał decyzję o rejestracji.

PO CO TO MUZEUM?

– Ludzie mówią: „Muzeum? Czy to ci się w ogóle opłaci?” – opowiada Stanisław Gabryś. – *Teraz wszyscy gonią za pieniądzem, a przecież nie pieniądz jest najważniejszy w życiu. Dom mam zawalony eksponatami. Ja już się napatrzyłem na to wszystko, chciałbym się dzielić swoją pasją z ludźmi...*

Stanisław Gabryś: *Chciałbym się dzielić swoją pasją z ludźmi...*

Na potrzeby powstającego muzeum pan Stanisław otworzył kuźnię i stolarnię. Razem z zakładem ślusarskim stanowić będą zaplecze techniczne placówki. Świdnicki kolekcjoner nie jest – na szczęście – osamotniony w swoich działaniach. Miasto oddało mu w użytkowanie piękny obiekt z połowy XVIII wieku – fragment dawnej twierdzy. Zadeklarowało też przekazanie pieniędzy na ogrodzenie, remont i adaptację budynku. Zaprzyjaźnieni archeolodzy z Wrocławia zapewniają bezpłatny nadzór nad wszystkimi pracami w zabytkowej budowli. Stanisław Gabryś z wielkim uznaniem mówi o postawie władz miejskich Świdnicy – sprzyjają, pomagają, ułatwiają.

Ani w domu, ani w warsztacie świdnickiego kolekcjonera nie ma już miejsca na eksponaty

Dodajmy, że on z kolei nie czeka „na gotowe”. Zamierza przy muzeum uruchomić jak najszybciej strzelnicę (pełnowymiarową, w części podziemnej) i kawiarnię, aby dochody przeznaczać na prace remontowe i utrzymanie placówki. Świdnickie Muzeum Broni i Militariów ma być, zgodnie z planami założyciela, swoistym centrum skupiającym miłośników historii, zwłaszcza historii militarnej, poszukiwaczy, ma być również ośrodkiem strzeleckim, prowadzić działalność oświatową, organizować ciekawe spotkania z zaproszonymi gośćmi. Pan Stanisław chce kierować owym centrum, jak mówi – „do końca”. Jeżeli tylko zdrowie pozwoli.

– Ja po prostu mam wizję całości... Chciałbym otaczać się ludźmi, którzy są tak samo nawiedzeni przez tę pasję, jak ja. Bo jeżeli ktoś nie czuje sprawy, to może w takim obiekcie utopić miliardy i nie uzyskać żadnego efektu.

I miasto, i dyrektor pragną, aby muzeum stało się atrakcją turystyczną, wizytówką Świdnicy. Współpraca obu stron i zaangażowanie wielu życzliwych ludzi pozwalają wierzyć, że tak się właśnie stanie.

BROWNING BĘDZIE RELIKWIĄ

Kolekcja Stanisława Gabrysia liczy około pięciuset egzemplarzy broni białej, strzeleckiej, ciężkiej i artyleryjskiej. Największe w zbiorach jest działo B10. Wśród najcenniejszych eksponatów kolekcjoner wymienia MG 08/15 z Wału Pomorskiego. Rzadki egzemplarz – ma podstawę forteczną i tabliczkę znamionową.

– Przekazał go były żołnierz, siedemdziesięciosiedmioletni pan. On chciał, żeby ta broń została w kraju. Miał propozycję z Niemiec, ale chociaż mu się nie przelewa – nie sprzedał.

Większość kolekcji to rezultat szperania na giełdach. Jest też trochę znalezisk własnych Stanisława Gabrysia – do połowy lat dziewięćdziesiątych szukał w Górach Sowich. Nawiązał kontakt z wojskiem i stamtąd pozyskał część broni ciężkiej i artyleryjskiej. Ekspozycja wzbogaci się o zbiory innych kolekcjonerów-pasjonatów, którzy chcą zaprezentować je w świdnickim muzeum. Poza tym dyrektor kupuje eksponaty za granicą.

W kolekcji białej broni znajdują się bardzo ciekawe egzemplarze

– Nie mam tu innych źródeł pozyskania broni strzeleckiej. Finalizuję teraz rozmowy z „Frankonią” – to centrala sprzedaży broni na całe Niemcy. Czekają tylko na potwierdzenie zamówienia. Zwróciłem się do nich z ofertą zakupu szesnastu karabinów produkowanych przez szesnaście państw. Będą to głównie mauzery – rumuńskie, portugalskie, chilijskie i inne. Oni uzyskali zgodę Ministerstwa Obrony Niemiec i prześlą mi pocztą kurierską do urzędu celnego w Świdnicy. Dostałem bardzo duże upusty cenowe, poza tym jako muzeum nie obowiązują mnie żadne cła, podatki i tak dalej.

Dla pana Stanisława broń jest przede wszystkim wytworem ludzkiej myśli technicznej, obrazuje historię rozwoju człowieka. Chciałby więc uczynić swoją kolekcję jak najbardziej różnorodną i bogatą. Natomiast nigdy nie dążył do posiadania amunicji.

– To jest rzecz bardzo niebezpieczna, która może się zemścić i po stu latach od zakopania. Poza tym – nie budzi ciekawości konstrukcyjnej.

Marzeniem świdnickiego kolekcjonera jest mieć polski „Browning” z 1939 roku.

– On czeka na mnie, tylko trzeba mi około tysiąca siedmiuset złotych. Nasz, wrześniowy, robiony przez Warszawską Fabrykę Karabinów. Czeka na mnie, nie ucieknie i ja go muszę mieć. Będzie prawdziwą relikwią w moim muzeum.

PRZYCZYNEK DO HISTORII ZBIORU

Jako siedemnastolatek chciał wstąpić do szkoły podoficerskiej w Elblągu. Przeszedł pomyśl-

Jeden z najcenniejszych eksponatów – MG 08/15 z Wału Pomorskiego

nie komisję lekarską, pochodzenie (chłopskie) też uznano za właściwe. Kiedy jednak ujawnił, że ojciec był partyzantem w Batalionach Chłopskich, a dziadkowie żołnierzami galicyjskimi w Austro-Węgrach, został odrzucony.

– Od razu znaleziono mi choroby: przepuklinę, płaskostopie i inne. To mi się, zresztą, przydało, bo parę lat później chcieli mnie wziąć do wojska, ale ja już byłem taki kaleka, że niedługo mi życia zostało...

No i może stąd ta moja pasja... Rekompensata. Myślę, że dobrze się stało. Pewnie byłbym teraz jakimś zdegradowanym pułkownikiem, załamanym przez życie, sfrustrowanym.

KOLEKCJONERSKIE KŁOPOTY

Stanisław Gabryś chciałby pozyskać od wojska więcej eksponatów, ale nie pozwala na to machina administracyjna.

– A w składnicach wojskowych są dziesiątki, setki armat, które już tak skorodowały, że nikt ich nie będzie w stanie użyć w żadnych działaniach bojowych. Mało tego – nawet armaty zdjęte z pomników też podlegają sprzedaży przez Agencję Mienia Wojskowego.

Zmorą kolekcjonerów są nieżyciowe przepisy prawne. Zgodnie z nimi, nawet każda osobna część broni jest uznawana za broń i kolekcjoner może być oskarżony o nielegalne jej posiadanie. Po publikacjach prasowych dotyczących świdnickiego muzeum dyrektor Gabryś dostał sporo listów.

– Na każdy odpisuję, szczególnie w sprawie legalizacji kolekcji. Nowa ustawa o broni jest fatalna, jeżeli chodzi o kolekcjonerów, właściwie w ogóle o nich nie wspomina.

* * *

Pan Stanisław chętnie dzieli się wiedzą na temat broni i kolekcjonerskim doświadczeniem, służy informacjami dotyczącymi sposobu zalegalizowania zbiorów. Jeżeli ktoś chciałby zaprezentować swoją kolekcję w świdnickim muzeum, będzie mile widziany. Z otwartymi ramionami zostaną też przyjęci darczyńcy. Muzeum Broni i Militariów w Świdnicy mieści się przy ul. Spółdzielczej 16, a z dyrektorem Stanisławem Gabrysiem można się kontaktować pod adresem:

58-100 Świdnica,
ul. Zachodnia 30.

Tekst Maria Wiatrowska
Zdjęcia Marek Dudziak

Alfabet kamieni – granat

Nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *granatum* oznaczającego owoc drzewa granatowego. Jego ziarna są podobne do kryształów tego minerału.

Jest to izomorficzna grupa krzemianów wyspowych. Dawniej czerwone granaty zaliczano do wspólnej grupy kamieni zwanej karbunkułami. W tej grupie minerałów wyróżnia się:
– pirop ($Mg_3Al_2(SiO_4)_3$) – 44,70 proc. SiO_2, 25,29 proc. Al_2O_3, 30,01 proc. MgO;
– almandyn ($Fe^{2+}_3Al_2(SiO_4)_3$) – 36,21 proc. SiO_2, 20,48 proc. Al_2O_3, 43,31 proc. FeO;
– spessartyn ($Mn^{2+}_3Al_2(SiO_4)_3$) – 36,41 proc. SiO_2, 20,60 proc. Al_2O_3, 42,99 proc. MnO;
– grossular ($Ca_3Al_2(SiO_4)_3$) – 40,01 proc. SiO_2, 22,63 proc. Al_2O_3, 37,36 proc. CaO;
– andradyt ($Ca_3Fe^{3+}_2(SiO_4)_3$) – 35,46 proc. SiO2, 31,43 proc. Fe_2O_3, 33,11 proc. CaO;
– uwarowit ($Ca_3Cr^{3+}_2(SiO_4)_3$) – 36,0 proc. SiO_2, 30,38 proc. Cr_2O_3, 33,62 proc. CaO;

Jest to podział teoretyczny, bowiem czystych odmian w przyrodzie w ogóle się nie spotyka. Wymienionymi wyżej nazwami określa się zazwyczaj kryształy mieszane, wykazujące bezwzględną przewagę danej grupy. Minerały tej grupy łączy ten sam typ wzoru chemicznego, ta sama klasa krystalograficzna i jednakowa struktura wewnętrzna. Granaty są różnobarwne (do tej pory nieznane są jedynie niebieskie), przezroczyste. Rysę mają białą, twardość – 6,5 do 8 w skali Mohsa, gęstość 3,5 do 4,3, łupliwość niewyraźna. Powszechna postać do dwunastościan rombowy. Granat łączy często zbite skupienia ziarniste. Jest podobny do wezuwianu, rubinu, cyrkonu. Współwystępuje z wieloma minerałami. Granaty stosuje się w jubilerstwie. Obrabia się je szlifem schodkowym i nożycowym, a także brylantowym. Na rynku spotyka się biżuterię z samych granatów lub w połączeniu z innymi kamieniami szlachetnymi. Popularna jest szczególnie w Czechach, gdzie szeroko rozwinęła się ich obróbka. Nazywane są tam czeskimi granatami, chodzi zaś o ciemnoczerwoną odmianę piropu. W okresie romantyzmu czeskie granaty były najpopularniejszymi kamieniami szlachetnymi Europy. Główne ich złoża, znane od średniowiecza, znajdują się na południowych zboczach Wyżyny Środkowoczeskiej koło Trebenic i Trebivic. W tej pierwszej miejscowości istnieje też Muzeum Czeskiego Granatu. Największym ze znanych jest kamień o wadze 3,6 grama osadzony w Orderze Złotego Runa w drezdeńskim Grünes Gewelbe.

Pirop jest odmianą koloru ciemnoczerwonego z lekkim odcieniem brązowym. Spotyka się także mniej cenione piropy, żółte, pomarańczowe i różowe. Nazwa pochodzi od greckiego słowa *pyropos* – podobny do ognia. Zabarwienie powodują domieszki żelaza i chromu. Ze względu na duże podobieństwo do rubinu pirop nazywa się także – zależnie od miejsca występowania – rubinem cejlońskim, kalifornijskim itp. Odmianą piropu barwy różowej jest „rodolit" występujący głównie w Kalifornii i Południowej Karolinie (USA). Największy ze znalezionych miał 43,3 karata.

Almandyn ma kolor od czerwonego z fioletowym odcieniem poprzez brunatnoczerwony do niemal czarnego. Nazwa pochodzi od miasta Alabanda w Azji Mniejszej, gdzie w starożytności szlifowano granaty. Często występuje w mieszanych kryształach z piropem. W Muzeum Czartoryskich w Krakowie jest eksponowana niewielka czarka wykonana z almandynu dla Anny Boleyn, żony króla Anglii Henryka VIII. Minerał ten ma cztery jubilerskie odmiany:
– falum – brązowy i brunatny;
– granat zwyczajny – prawie czarny;
– seriam – fioletowoczerwony;
– granat szlachetny – czerwony – najbardziej ceniony w jubilerstwie.

Spessartyn – różowy, pomarańczowy lub brunatnoczerwony – zawdzięcza swoją nazwę miejscowości Spessart w Bawarii, gdzie występuje.

Nazwę **grossular** wywodzi się od nazwy łacińskiej agrestu – *glossylaria*, ze względu na podobieństwo barwy. Minerał ten bowiem najczęściej bywa zielony (od domieszki chromu). Oprócz tego spotykamy żółty i czerwony – do brunatnego. Zależnie od koloru ma różne nazwy:
– hessonit (brunatnopomarańczowy);
– hiacynt cejloński (żółty lub żółtoczerwony);
– leukogranat (bezbarwny);
– hydrogrossular (różowy i różowoczerwony, zawiera ok. 5 procent wody krystalizacyjnej).

Andradyt (nazwa od nazwiska francuskiego mineraloga J.B. d'Androda, żyjącego na przełomie XVIII i XIX wieku) występuje w wielu odmianach barwnych (domieszki to głównie mangan i tytan): żółte – topazolity, czarne – nieprzezroczyste – melanity, zielone (najbardziej cenione) – demantoidy. Tę ostatnią odmianę charakteryzuje wysoki współczynnik załamania światła i dyspersja wyższa od diamentu.

Uwarowit nazwę przyjął od nazwiska carskiego ministra (albo piszą inni – prezydenta Rosyjskiej Akademii Nauk) A.A. Uwarowa. Występuje z reguły w postaci drobnych kryształków, dlatego nie ma zastosowania w jubilerstwie. Kryształy granatu mogą być wrosłe w skałę lub narosłe w pustkach skalnych. Spotyka się je także w utworach aluwialnych.

Granaty znajdują się w wielu miejscach na świecie. Pirop, obok bardzo znanych, wspomnianych powyżej złóż w Czechach, występuje w Afryce Południowej (Kimberlay), USA, Rosji (Jakucja), Australii, Tanzanii, Brazylii, Sri Lance, na Madagaskarze, w Argentynie i Meksyku. Rodolit wydobywa się w USA w Południowej Karolinie; almandyn – w Brazylii, Australii, Urugwaju, Indiach i Sri Lance; spessartyn – w USA (Nevada, Wirginia, Kalifornia, Nowy Meksyk), ZSRR (Ural) i na Madagaskarze; uwarowit – w USA, ZSRR, Kanadzie, Finlandii i Afryce Południowej; grossular – w ZSRR (Ural), Indiach, Pakistanie, USA i Południowej Afryce.

W Polsce granaty występują na Dolnym Śląsku. Spotykamy je w łupkach łyszczykowo-granatowych, skałach kontaktowych i pegmatytach granitowych. Maksymalnie mają ok. 30 mm średnicy. Występowanie granatów odnotowano w okolicach Turoszowa, Leśnej, Lubania, Gryfowa Śląskiego, Kotliny k. Mirska, Gierczyna, Krobicy, Przecznicy, Pobiednej k. Świeradowa-Zdroju, Czerniawy-Zdroju, Szklarskiej Poręby, Starej i Małej Kamiennej k. Jeleniej Góry, Siedlęcina, Chmielenia, Wojcieszyc, Wilczej Poręby k. Karpacza, Kowar, Płakowic, Lubomierza, Pilchowic, Wałbrzycha, Jugowic, Jedliny–Zdroju, Głuszycy, Walimia, Strzelina, Strzegomia, Chwałkowa, Sobótki, Jordanowa, Świdnicy, Zagórza Śląskiego, Dzierżoniowa, Szklar, Niemczy, Jarnołtówka, Głuchołaz, Lewina Kłodzkiego, Kłodzka, Nowej Rudy, Złotego Stoku, Lądka-Zdroju, Stronia Śląskiego, Międzygórza. Jak z tego widać, na Dolnym Śląsku granat można znaleźć w wielu miejscach. Warta przytoczenia jest historia odkrycia z września 1886 r., kiedy to podczas kopania fundamentów pod seminarium duchowne na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu, na głębokości około dwóch metrów, w luźnym piasku natrafiono na tysiące kryształów granatu wielkości od orzecha włoskiego do takich, które miały dziesięć centymetrów średnicy!

Granaty łatwo znaleźć, choć nie zawsze będą to duże okazy. To kamienie szlachetne, które przyciągają uwagę.

MD

Królewiec, Königsberg, Kaliningrad...

Na wyprawę do Królewca ostrzyłem sobie zęby od dawna. Wiadomo, stare krzyżackie miasto, słynna Festung Königsberg, miasto rodzinne Immanuela Kanta i ostatnie znane miejsce pobytu Bursztynowej Komnaty. Sam pewnie bym się nie odważył. Wiem, że wszystkie opowieści o dzikim wschodzie są mocno przesadzone, ale zasiane ziarna niepokoju kiełkują gdzieś w podświadomości i straszą. Wycieczek grupowych nie lubię, ale wycieczka zorganizowana przez „Odkrywcę", dla poszukiwaczy i to do Królewca była czymś, czego odpuścić nie mogłem.

W zbiorach Muzeum Krajoznawczego znajduje się makieta Królewca sporządzona przed zdobyciem miasta przez Armię Czerwoną **fot.** Kmicic

Wyruszamy w czwartkowy poranek z Elbląga. W autobusie Biura Podróży „PORTUR" jest jeszcze kilka wolnych miejsc. Brakuje paru znajomków, którzy się zarzekali, że do Królewca – to jak w dym. Pani Jola, pilot wycieczki, już na wstępie ostrzega, żeby przypadkiem nie uśmiechać się do rosyjskich celników – podobno bardzo tego nie lubią. Granicę przekraczamy w Mamonowie. Rosjanie skrupulatnie sprawdzają wszystkie możliwe papierki. Tuż za granicą ciężko przejechać autobusem, bo czekające na odprawę samochody stoją jak chcą. Dziewięćdziesiąt procent z nich to robocze pojazdy przemytników, którzy szmuglują tanią wódkę, papierosy i benzynę. Słysząc, że wybieramy się do Królewca na trzy dni, znacząco pukają się w głowę.

To tylko część „królewieckiej" ekipy **fot.** z archiwum ODKRYWCY

Kopalnia bursztynu w Jantarnym koło Kaliningradu jest podobno największa na świecie **fot.** Kmicic

W Królewcu przed pomnikiem wodza rewolucji dosiada się do nas Siergiej, rosyjski przewodnik. Zwiedzanie miasta przekładamy na dzień następny i ruszamy do Jantarnego obejrzeć słynną kopalnię bursztynu. Wydobycie odbywa się tu metodą odkrywkową. Aż nie chce się wierzyć, że to największa kopalnia bursztynu na świecie. W kombinacie, gdzie przerabia się kopalinę, pokazują nam niektóre z ciekawszych wyrobów. Przy drogach wiodących do odkrywek dzieci sprzedają bursztyn we wszystkich możliwych formach i jeżeli kogoś to bawi, może kupować do woli. Z Jantarnego jedziemy do Swietłogorska – najsłynniejszego kurortu w okręgu kaliningradzkim. W rosyjskim Sopocie nie ma nic szczególnego, może z wyjątkiem kolejki linowej i specjalnej windy, które ułatwiają szybkie pokonanie klifowego brzegu opadającego pięćdziesięcioma metrami ku morzu.

Ze Swietłogorska wracamy do Królewca. Nocujemy w hotelu „Moskwa", który przed wojną nazywał się „Berlin" – na elewacji zachowały się jeszcze dwa niedźwiedzie, symbole niemieckiej stolicy. Nasz miejscowy przewodnik zapewnia, że Kaliningrad to bezpieczne miasto i nocny spacer nie kończy się uszczerbkiem na zdrowiu. Rzeczywiście. Może to kwestia szczęścia?

W piątek zwiedzamy miasto. Prawie każdy z wycieczkowiczów dobrze się przygotował i doskonale wie, co chciałby zobaczyć. Na przykład grupka z Poznania odłącza się od wycieczki i na własną rękę rusza oglądać forty, bo to najbardziej „grzejący" ich temat. Reszta jedzie do Muzeum Krajoznawczego, żeby zobaczyć tylko jeden eksponat: makietę Królewca, którą zrobiono specjalnie przed szturmem Armii Czerwonej. Jeżeli ktoś lubi, to buszuje w księgarni i na ogromnym bazarze. Niewielka grupka poszukiwaczy odwiedza słynnego tropiciela Bursztynowej Komnaty Awienira Pietrowicza Owsianowa, który przyjmuje zaproszenie na wieczorną dyskusję w hotelu „Moskwa". Piątkowy program naładowany jest atrakcjami aż do granic możliwości, ale trzeba wykorzystać każdą chwilę. Zwiedzamy królewiecką katedrę. Piękny gotyk z zewnątrz, a w środku remontowany właśnie koszmarny sen miłośnika gotyku – wspaniałe ceglane filary zalewa się grubą warstwą betonu, a na pobielonych ścianach niebieską farbą maluje się duże prostokąty, które chyba mają przypominać cegły... W wieży katedry jest muzeum, gdzie znajdują się pamiątki po starym Königsbergu i po Immanuelu Kancie. Uczciwie przyznać wypada, że Rosja-

Awienir Pietrowicz Owsianow – wytrwały tropiciel Bursztynowej Komnaty **fot.** Kmicic

Katedra – na zewnątrz piękny gotyk, ale w środku... **fot.** Kmicic

Na miejscu krzyżackiego zamku wyrósł taki oto koszmar budowlany (widok od strony katedry) **fot.** Kmicic

Stanisław Lauruszonis oprowadzał nas po Forcie nr 1
fot. (1 i 2) Kmicic

„Jedynka" wzbudziła uznanie miłośników fortyfikacji – prace renowacyjne prowadzone są bez zarzutu

Beczka pełna historii... (Fort nr 1)
fot. Kmicic

nie docenili autora „Krytyki czystego rozumu" i w Królewcu naprawdę Kant na Kancie – oprócz muzeum jest pomnik i mauzoleum filozofa. Sprzed katedry rozciąga się wspaniały widok na budowlane straszydło – opuszczony i smutny olbrzymi biurowiec, który wzniesiono na miejscu królewieckiego zamku. Niektórzy z Rosjan śmieją się, że ten budynek to największe z przekleństw Bursztynowej Komnaty. A skoro o Bursztynowej Komnacie mowa, to fragmenty jej rekonstrukcji podziwialiśmy w kaliningradzkim Muzeum Bursztynu, które zbiorami na głowę bije kombinat w Jantarnym.

Tyle zostało z zamku w Bałdze
fot. Marcin Korzeniowski

Znaleziska rycerzy z Insterburga
fot. Kmicic

Tempo wycieczki, jako się rzekło, jest szaleńcze, ale dzięki temu udaje nam się zobaczyć najsłynniejszy w mieście Fort nr 5 oraz betonowy schron Otto Lascha, skąd kierowano obroną Festung Königsberg.

Wieczorem spotykamy się z Awienirem Owsianowem. Niemal każdy ma jakieś pytania i nawet bariera językowa (nie tak znowu znaczna, bo kto w szkole nie uczył się rosyjskiego...) nie stanowi problemu. Co ważne, nie ma pytań, które Owsianow pozostawiałby bez odpowiedzi lub kwitował lakonicznie. Jedno jest pewne: gdyby komuś zależało, to może załatwić pozwolenie i szukać w Kaliningradzie czego dusza zapragnie.

Sobota jest ostatnim dniem naszej operacji królewieckiej i upływa pod jednym hasłem: zamki. Jednak zaczynamy od Fortu nr 1. Wszyscy, którzy lubią fortyfikacje, są mile zaskoczeni, bo „jedynka" nie dość, że jest w dobrym stanie, to prowadzonym na niej robotom renowacyjnym trudno cokolwiek zarzucić. Po forcie oprowadza nas Stanisław Lauruszonis – jeden z zapaleńców, dla których fort to bardzo ważna część życia. W przyszłości „jedynka" ma stać się obiektem powszechnie udostępnionym dla zwiedzających, z własną kolekcją militariów, której zalążek już mogliśmy oglądać – większość stanowią znaleziska z fosy fortu i najbliższej okolicy. (Ech! Ruszyłby człowiek z wykrywaczem w teren...)

Pierwszy zamek na szlaku krzyżackich miast to Tapiav – do starych murów przyklejono różne przybudówki, część wykorzystano na dom mieszkalny. Razem z kolesiem dostrzegamy istną perełkę – tuż koło psiej budy leży odrobinę powgniatana metalowa beczka, a na jej deklu tłoczenia: „Kriegsmarine". Znajdujemy właściciela tego skarbu, ale krótkie „nie priedaju" ucina nasze negocjacje dotyczące ceny.

Drugim zamkiem jest Insterburg, na którym pomieszkuje wesoła kompania z klubu rycerskiego. Rycerze raczą nas zwiedzaniem podziemi, zainscenizowaną walką i teatrem cieni. Nasi gospodarze, oprócz kultywowania tradycji, mają również bliższe naszym zainteresowania – kopią w zamku i okolicy, a część znalezisk prezentują w dwóch salach zamkowych.

Jest czego pilnować – reszta zamku Tapiav, pozostałość po Kriegsmarine...
fot. Kmicic

Na zamku Georgensburg obecni gospodarze witają nas mniej życzliwie i nie ma wątpliwości, że to nie są rycerze. Jeszcze na deser trafia nam się legendarna Bałga ze swoimi ruinami, a później już tylko chwila strachu przy rosyjskiej odprawie celnej. Wszystko kończy się szczęśliwie, chociaż późno docieramy do Elbląga.

Co jeszcze dodać? Chyba tylko tyle, że trzy dni to zbyt mało i na pewno trzeba będzie do Królewca wrócić. Wszyscy, którzy nie zdecydowali się na wyjazd z „Odkrywcą", mają czego żałować, jednak na pocieszenie dodam, że Biuro Turystyczne „PORTUR" ma zamiar kontynuować wycieczki do Królewca w takiej formie. To już nie będzie to samo, co z „Odkrywcą", ale i tak warto pojechać.

Kmicic

Teraz w zamku Insterburg rezyduje klub rycerski. Dla wycieczki „Odkrywcy" wesoła kompania zainscenizowała pokaz walki na miecze.
fot. 1 Kmicic
fot. 2 Marek Dudziak

X Zlot Miłośników Eksploracji

Strzałem z wiwatówki rozpoczęto X Jubileuszowy Międzynarodowy Zlot Miłośników Eksploracji w Wojanowie-Bobrowie, zorganizowany przez Towarzystwo Eksploracyjne Poszukiwań Zaginionych Zabytków „Talpa".

W zlocie, który trwał od 17 do 19 września, uczestniczyło około dwustu osób. W piątkowy wieczór zorganizowano spotkanie z udziałem przedstawicieli specjalnego zespołu, powołanego przez Wojewodę Dolnośląskiego „do prowadzenia postępowań w przypadku uzyskania informacji o ukrytych dobrach kultury". Przewodniczący zespołu Mirosław Figiel omówił cele, zadania i planowany sposób funkcjonowania tej pionierskiej w Polsce jednostki administracyjnej, której podstawowym założeniem jest współpraca z poszukiwaczami w odnajdowaniu ukrytych dóbr kultury*. Wystąpienie Mirosława Figla wywołało dość żywą dyskusję. Zdania eksploratorów na temat wiarygodności i przydatności zespołu były podzielone. Zgodzono się jednak, że jest to pierwszy krok w kierunku porozumienia pomiędzy urzędnikami państwowymi i poszukiwaczami.

W sobotę uczestnicy zlotu zwiedzali zamek Czocha, drugowojenne obiekty fabryczne w Zakładzie Leśna-Baworowo, wykute w skałach tunele koło Leśnej oraz podziemia pod Wzgórzem Kościuszki w Jeleniej Górze, w których Niemcy prawdopodobnie zamierzali urządzić schron przeciwlotniczy. **

W niedzielę rozegrano I Karkonoskie Mistrzostwa w Eksploracji. Dwadzieścia ukrytych na wyznaczonym terenie puszek eksploratorzy (pięćdziesiąt jeden osób) znaleźli w ciągu niespełna pół godziny. Pierwsze miejsce (cztery znalezione puszki) zajął Wiesław Zimoń ze Strzegomskiego Stowarzyszenia Historyczno-Poszukiwawczego. Drugą lokatą podzielili się Remigiusz Pacer z Gdańska i Andrzej Wyka z Gdyni (po dwie puszki). Nagrodę specjalną otrzymała Iga Zwierzycka z Nowej Soli za odnalezienie karabinu.

Nieodłączną częścią spotkania w Wojanowie-Bobrowie były – jak zwykle na zlotach – długie nocne eksploratorów rozmowy. Pojawił się też nowy, ludyczny element imprezy, ponieważ organizatorzy połączyli zjazd poszukiwaczy z festynem z okazji Dni Gminy Mysłakowice.

Ustalono, że następny zlot miłośników eksploracji odbędzie się na terenie Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. O szczegółach poinformujemy.

Tekst Maria Wiatrowska

Zdjęcia Marek Dudziak

* Rozmowę z członkami zespołu zamieścimy w następnym numerze „Odkrywcy".

** Artykuł Leszka Adamczewskiego na ten temat w jednym z najbliższych numerów.

Z zamkiem Czocha wiąże się dużo tajemnic

Po obiektach fabrycznych w Leśnej oprowadzał nas Arnold Oleszkiewicz (na pierwszym planie)

Jak to eksplorator...

W I Karkonoskich Mistrzostwach w Eksploracji wzięło udział pięćdziesiąt jeden osób
Fot. obok: Z roku na rok coraz więcej eksploratorów przyjeżdża na zloty z rodzinami

Gratulacje dla zwycięzcy – Wiesława Zimonia (z lewej) od redakcji „Odkrywcy"
Fot. obok: Młode pokolenie poszukiwaczy z zapałem uczestniczyło w zawodach

Iga Zwierzycka znalazła ukrytą skrzętnie przez jurorów niespodziankę...

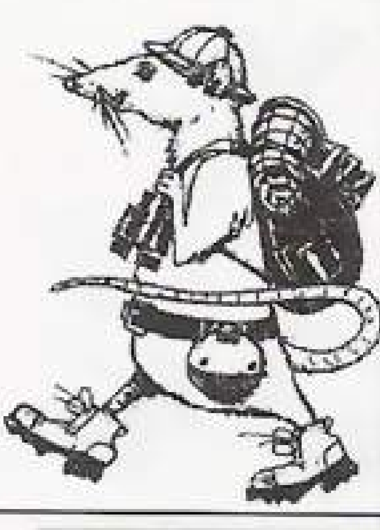

Mistrzostwa w Karkonoszach

150 poszukiwaczy złota wzięło udział w VI Międzynarodowych Otwartych Mistrzostwach Polski w Płukaniu Złota, które odbyły się w Szklarskiej Porębie. W kategorii drużyn dwuosobowych reprezentujących mass media zespół „Odkrywcy" wywalczył drugie miejsce pozostawiając za sobą m.in. silną ekipę wrocławskiej telewizji. Zwyciężył „Dziennik Łódzki".

Na mistrzostwa przyjechali płukacze z Australii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Szwecji, Słowacji, Holandii i Czech. Impreza rozpoczęła się od barwnego korowodu, który wręcz utonął w strugach deszczu. Płukanie złota odbywało się u stóp Szrenicy, w jeziorku otoczonym granitowymi skałkami. Zawodników podzielono na kilka kategorii wg regulaminu World Goldpanning Association (patrz sierpniowy numer „Odkrywcy").

Co sprawia, że ludzie z odległych zakątków świata przemierzają setki, tysiące kilometrów, by spotkać się gdzieś w małym miasteczku? Z pewnością nie pieniądze, gdyż więcej wydają na podróż. Co ma w sobie rywalizowanie na plastykowe i metalowe miski?

– Kto nie spróbował tej profesji, jaką jest płukanie złota, ten nigdy tego nie zrozumie – mówi Tadeusz Wasilewicz, wicemistrz Polski zawodowców. Potwierdza to Fred Olsson, tegoroczny mistrz Polski. Sam płucze od lat. Ze złotem ma sporo wspólnego. Posiada własne działki i jest prezydentem australijskiej federacji. Chętnie pokazuje wielkie samorodki. W Szklarskiej Porębie był też Richard Kana, szef słowackiej kopalni złota „Rozalia". Do Polski przyjeżdża od lat. Niczym nie wyróżnia się spośród płukaczy – kapelusz, dżinsy, flanelowa koszula. Poziom zawodów chwalą Brytyjczycy. Na tej cyklicznej imprezie w Polsce są pierwszy raz. Zapowiadają, że w przyszłym roku, z okazji mistrzostw świata ZŁOTORYJA 2000, przyjadą do Polski mocną ekipą.

Krzysztof Maciejak

Kontakt:
ul. Kaczawska 6/8
59-500 Złotoryja
tel. (076) 878 46 86

Złotych drobin szukają najmłodsi
fot. Krzysztof Maciejak

„Rodzinne" zdjęcie najlepszych płukaczy – Szklarska Poręba '99
fot. Krzysztof Maciejak

WYNIKI MP '99:
Amatorki: 1. Anna Świerk (Słowacja), 2. Andrea Povazanova (Słowacja), 3. Irena Drozd (Poznań). **Amatorzy:** 1. Przemysław Michalski (Złotoryja), 2. Andrzej Sielecki (Szklarska Poręba), 3. Rafał Czernikowski (Świebodzice). **Juniorzy:** 1. Marcin Maciejak (Złotoryja), 2. Jarosław Augustyn (Lubin), 3. Hanna Wasilewicz (Wilków). **Profesjonaliści:** 1. Fred Olsson (Australia), 2. Tadeusz Wasilewicz (Wilków), 3. Lubos Dobrota (Słowacja). **Profesjonalistki:** 1. Anna Świerk (Złotoryja), 2. Agata Wejksznia (Lubin), 3. Renata Wasilewicz (Wilków). **Weterani:** 1. Peter Ossenkopf (Niemcy), 2. Feliks Gil (Złotoryja), 3. Milan Urbanek (Słowacja). **Enduro:** 1. Ryszard Wisiński (Złotoryja), 2. Roman Bober (Strzelce Opolskie), 3. Wojciech Kosatka (Kielce).

Sprzęt do poszukiwania złota (1)

MISKI

Złoto ma bardzo duży ciężar właściwy (do 19 g na cm sześc.). Ta właśnie cecha jest od wieków wykorzystywana przez poszukiwaczy.

Sposoby pozyskiwania złota zmieniały się wraz z rozwojem cywilizacyjnym, wciąż były udoskonalane. Początkowo eksploatowano złoża wtórne, które nie wymagały skomplikowanych technologii. Stosowano baranią wełnę (tzw. owcze runo, na którym zatrzymywały się wleczone przez wodę grudki złota), miski, koryta i ich systemy. Później wprowadzono stoły wibracyjne i grawitacyjne segregatory, wreszcie metody przemysłowe. Z początkiem XX wieku na złotonośnych działkach wyrosły olbrzymie koparko-płuczkarnie, tzw. dragi (dredge). Pracują one do dziś na Syberii i w Chinach. W rejonie Dawson City (Yukon – Kanada) zachowano je już tylko dla turystów. Metody wydobycia zależą od typu i głębokości złóż. Złoto eksploatuje się metodą głębinową i odkrywkową. W ostatnich latach swój prawdziwy renesans przeżywa wśród hobbystów sprzęt używany przez dawnych płukaczy znad Klondike czy z Kalifornii – miski i koryta.

Miska to podstawowy przyrząd służący do przepłukiwania osadów. Jej wygląd niewiele się zmienił od ponad tysiąca lat. Płukać można na miskach bardzo prostych – tych, które mamy w domowych łazienkach, na kuchennych patelniach, łopatach, dekielkach od kół samochodów, wreszcie na miskach specjalnie do tego celu wytwarzanych. Mają one różne kształty i formy. Na ich bokach często znajdują się dodatkowe elementy w postaci progów schodkowych, zabezpieczających przed ucieczką drobin. Na dnie misek mogą być zagłębienia, które stanowią pułapki dla złota, jak i małe, kilkucentymetrowe pręciki, służące do lepszego rozdrabniania przepłukiwanego osadu.

Generalnie miski dzieli się na dwa typy:
– miski z płaskim dnem,
– miski w formie chińskiego kapelusza (stożkowate).

Nie można jednoznacznie orzec, który typ jest lepszy. Zasada jest jedna: płuczemy na tej, na której najlepiej nam się to udaje. W Ameryce Północnej i Europie Zachodniej (Szwajcaria, Niemcy, Wielka Brytania, Austria) i Skandynawii (Finlandia, Szwecja) rozpowszechnione są miski z płaskim dnem. Natomiast poszukiwacze z Ameryki Południowej, Afryki, Azji oraz Włoch, Czech, Słowacji i Francji preferują miski w kształcie chińskiego kapelusza.

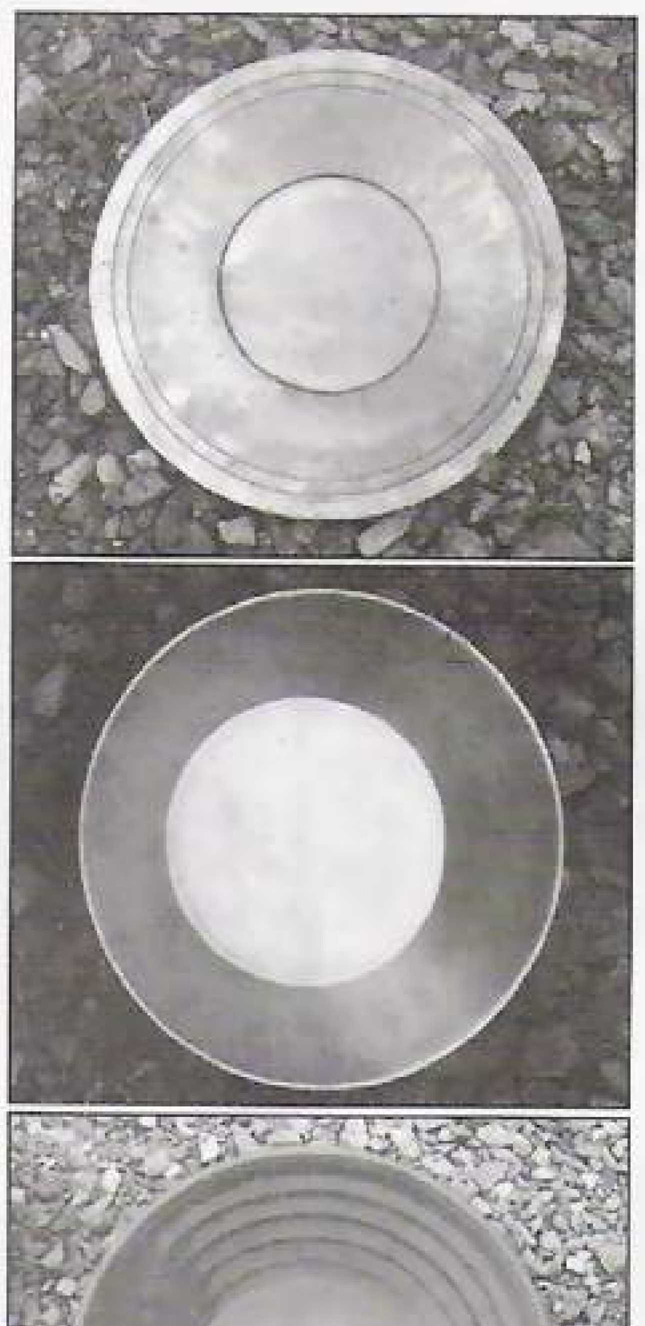

Miski do płukania złota (od góry): złotoryjska, kalifornijska, „Klondike" z progami
fot. Krzysztof Maciejak

Naszym zdaniem, przy poszukiwaniach nad rzeką lepsze są miski płaskie, a na zawodach – stożkowe. Od dwudziestu lat sporym zainteresowaniem cieszą się miski z plastyku. Są lekkie, a więc praktyczne przy wypadach z plecakiem, choć jednocześnie podatniejsze na zniszczenia. Starzy płukacze często żartują, iż trzeba ze sobą nosić oba typy misek. Te z płaskim dnem bardziej nadają się do przyrządzania potraw, prania skarpetek i siedzenia. Stożkowate natomiast lepiej trzymają się na głowie gdy pada deszcz (nie są polecane do siedzenia). Ceny misek bywają różne. Produkowane w Złotoryi miski z płaskim dnem (typ: talerz) kosztują ok. 30 zł, a w kształcie chińskiego kapelusza – ok. 35 – 40 zł. Na świecie ceny są wyższe. Za miski z płaskim dnem z plastyku i metalu płaci się od 50 do 70 zł. Godne polecenia są słowackie miski metalowe (chiński kapelusz) z rejonu Hodrusa Hamre (ok. 40 – 45 zł).

Na podstawie: Złoto. Vademecum poszukiwacza. Kinga i Krzysztof Maciejakowie. Złotoryja 1999 (w druku).

STRONA REDAGOWANA PRZEZ

Polskie Bractwo Kopaczy Złota · Złotoryja ·

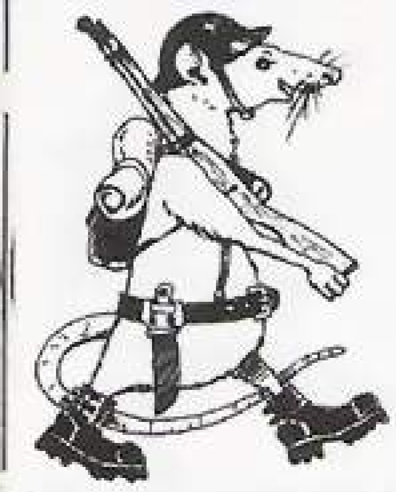

Niebezpieczne „skarby" (15)

Chociaż od wojny minęło ponad pół wieku, nasze ziemie wciąż kryją niewypały i niewybuchy. Można na nie trafić nie tylko szukając skarbów. Wiele osób nie umie tych wojennych „pamiątek" zidentyfikować i beztrosko wydobywa je z ziemi narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Będziemy więc systematycznie prezentować typy pocisków, granatów i bomb używanych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, aby ułatwić ewentualnym znalazcom ich rozpoznanie. Przypominamy: przedmiotów, które tutaj przedstawiamy, nie wolno kolekcjonować, nie wolno ich w ogóle ruszać – to praca dla sapera.

GRANATY WŁOSKIE Z OKRESU I WOJNY ŚWIATOWEJ

GRANATY OBRONNE (1)

Granat THEVENOT wz. 1916 (BOMBA THEVENOT)
Wysokość – 132 mm; średnica – 62 mm; waga – 720 g; zapalnik – uderzeniowy; materiał wybuchowy – echo; waga materiału wybuchowego – 160 g.

Granat S.I.P.E. wz. 1915 (BOMBA S.I.P.E.)
Wysokość – 120 mm; średnica – 55 mm; waga – 500-530 g; zapalnik – tarciowy-czasowy; materiał wybuchowy – proch czarny, siperit; waga materiału wybuchowego – 65-72 g.

Granat MEZZO wz. 1915 (BOMBA MEZZO)
Wysokość – 220 mm; szerokość – 67 mm; waga – ?; zapalnik – uderzeniowo-pirotechniczny; materiał wybuchowy – ?; waga materiału wybuchowego – ?

Granat BESOZZI wz. 1915 (BOMBA BESOZZI)
Wysokość – 95 mm; średnica – 63 mm; waga – 600 g; zapalnik – tarciowy-lontowy; materiał wybuchowy – proch czarny, szedyt; waga materiału wybuchowego – 60 g.

Granat BRANDI wz. 1915 (GRANATA BRANDI)
Wysokość – 110 mm; średnica – 50 mm; waga – ?; zapalnik – uderzeniowy; materiał wybuchowy – ?; waga materiału wybuchowego – ?

Granat STRAZZA SPERONI wz. 1915 (BOMBA STRAZZA SPERONI)
Wysokość – 200 mm; średnica – 80 mm; waga – 515 g; zapalnik – uderzeniowo-pirotechniczny; materiał wybuchowy – szedyt; waga materiału wybuchowego – ?

Granat CALDERONI wz. 1915 (BOMBA CALDERONI)
Wysokość – 180 mm; średnica – 60 mm; waga – ?; zapalnik – uderzeniowy; materiał wybuchowy – ?; waga materiału wybuchowego – ?

Granat B.P.D. wz. 1915 (BOMBA B.P.D.)
Wysokość – 125 mm; średnica – 57 mm; waga – 1140 g; zapalnik – tarciowy; materiał wybuchowy – balistyt, proch czarny; waga materiału wybuchowego – 75 g.

Granat P.D. wz. 1918 (PETARDO DIFENSIVO)
Wysokość – 110; średnica – 55; waga – 670; zapalnik – uderzeniowy; materiał wybuchowy – echo; waga materiału wybuchowego – 150 g.

GRANAT S.I.P.E. wz. 1915
(BOMBA S.I.P.E.)

GRANAT S.I.P.E. wz. 1915
z zapalnikiem STRAZZA SPERONI
(BOMBA S.I.P.E.)

GRANAT BESOZZI wz. 1915
(BOMBA BESOZZI)

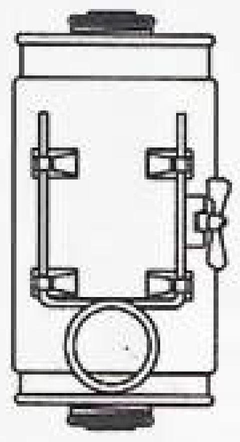

GRANAT THEVENOT wz. 1915
(PETARDO THEVENOT)

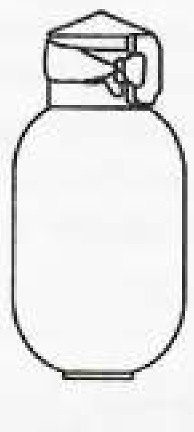

GRANAT BRANDI wz. 1915
(GRANATA BRANDI)

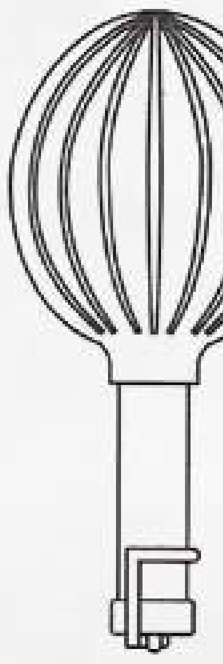

GRANAT STRAZZA SPERONI wz. 1915
(BOMBA STRAZZA SPERONI)

GRANAT P.D. wz. 1918
(P.D. – PETARDO DIFENSIVO)

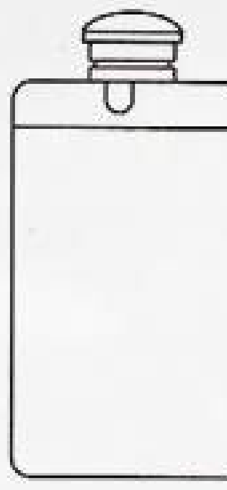

GRANAT B. P. D. wz. 1915
(BOMBA B.P.D.)

GRANAT CALDERONI wz. 1917
(BOMBA CALDERONI)

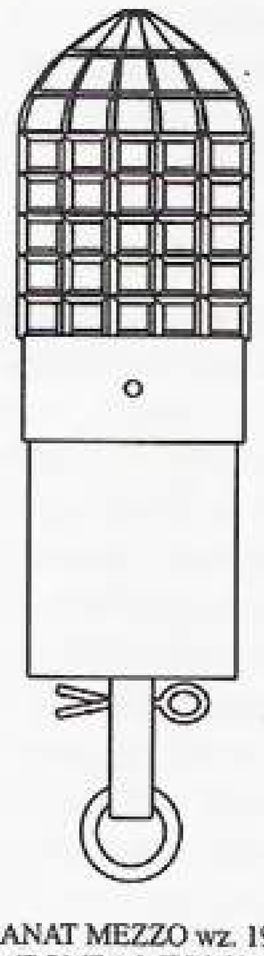

GRANAT MEZZO wz. 1915
(BOMBA MEZZO)

Sławomir Kordaczuk przedstawia

Militaria w domu (z pozdrowieniami dla uczestników IX Międzynarodowego Zlotu Miłośników Eksploracji w Spale): przedmioty wykonane z elementów pierwszej rakiety balistycznej V-2, jaka wybuchła w na Podlasiu. Wybuch nastąpił 20 kwietnia 1944 r. we wsi Ogrodniki (woj. białostockie). Kubek z przewodu doprowadzającego spirytus do pompy paliwowej zrobił Mikołaj Kiczko. Iglicę do wykonywania sieci rybackich wyciął z 2-milimetrowej grubości blachy zbiornika paliwa Bazyl Dmitruk. Jest mężem Eudokii z d. Pytel, która jako młoda dziewczyna została ranna w wyniku wybuchu tej rakiety na podwórku swoich rodziców.

Opowieści sapera (III – ost.)

„Zardzewiała śmierć” to tytuł książki wydanej w 1973 r. Jej autor, podpułkownik Michał Sawczyc, po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu był dowódcą plutonu saperów, później dowódcą Grupy Rozminowania Województwa Warszawskiego, a w latach 1962–1965 – dowódcą Grupy Rozminowania Miasta Stołecznego Warszawy. „Zardzewiała śmierć” ma charakter pamiętnika i opowiada o codziennej pracy saperów; o setkach min, granatów, bomb i pocisków, ale również o odnalezionych magazynach Armii Krajowej, konspiracyjnych dokumentach czy poszukiwaniach legendarnego polskiego pistoletu maszynowego „MORS”. Dzięki staraniom Magdaleny Pulińskiej i Roberta Stanity – eksploratorów z Warszawy – udało się odnaleźć podpułkownika Sawczyca, który zgodził się porozmawiać o latach służby.

– Począwszy od roku 1962 zaangażował się Pan w akcję, jakiej jeszcze nie było; razem z podległymi saperami szukał Pan prototypowego pistoletu maszynowego „Mors”. Cała sprawa nabrała ogromnego rozgłosu...

– Tak, to były wspaniałe poszukiwania. „Mors” był czymś zupełnie wyjątkowym; został skonstruowany przez profesora Piotra Wilniewczyca – twórcę słynnego „Visa” – oraz Jana Skrzypińskiego. Próbną partię około pięćdziesięciu sztuk wyprodukowano tuż przed wojną w Warszawskiej Fabryce Karabinów. Podobno „Mors” przewyższał pistolety maszynowe produkowane za granicą. W czerwcu 1939 roku w „Morsy” zostali zaopatrzeni podoficerowie z trzeciego samodzielnego batalionu piechoty z podwarszawskiego Rembertowa. Później był pamiętny wrzesień i kapitulacja, jednak wszyscy, którzy korzystali z „Morsów”, mieli jasne rozkazy: Pod żadnym pozorem nie można dopuścić, aby peemy „Mors” dostały się w ręce wroga. W przypadku poważnego zagrożenia broń należy bezzwłocznie zniszczyć lub ukryć.

W 1962 roku do Muzeum Wojska Polskiego zgłosił się inżynier Marian Wójcik, który w 1939 roku miał „Morsa” na wyposażeniu. Wiedział również, gdzie cały jego batalion ukrył nowe peemy. Wójcik swoje rewelacje ujawnił tak późno, gdyż nie miał pojęcia, że wojny nie przetrwał żaden z „Morsów”. Dopiero gdy był na Cmentarzu Powązkowskim, nad grobem Piotra Wilniewczyca spotkał jego żonę i od niej dowiedział się o poszukiwaniach prowadzonych przez muzeum. Szczerze wypada przyznać, że Wójcik mocno się całą sprawą przejął. Wyjawił, że zakonserwowane „Morsy” oraz inna broń maszynowa zostały zakopane na terenie tartaku mieszczącego się przy ulicy Radzymińskiej na Targówku.

Pojechałem tam z całą ekipą saperów i przeryliśmy około osiemdziesięciu procent terenu. Kopaliśmy głęboko, bo broń miała być ukryta na głębokości dwóch metrów. Momentami napięcie sięgało zenitu. Pamiętam, co się działo, gdy trafiliśmy na drewnianą skrzynkę. Zanim zdążyliśmy ją otworzyć, przyjechała ekipa telewizji warszawskiej. Każdy, kto stał w pobliżu, wbijał wzrok w znalezisko – złudzenia prysły, gdy jeden z saperów otworzył skrzynkę i wyciągnął z niej... młotek oraz gwoździe. Wójcik, święcie przekonany, że schowek zrobiono na terenie tartaku, był niepocieszony. Jednak od trzydziestego dziewiątego roku wiele się zmieniło; nie było już pewnych budynków, brama wjazdowa znajdowała się w innym miejscu. Nie brakowało również ludzi, którzy twierdzili, że przy Radzymińskiej mieścił się jeszcze jeden skład drewna. Dla nas, poszukiwaczy, tartak okazał się całkowitym niewypałem.

– Ale to nie był koniec poszukiwań „Morsa”, raczej – początek...

– Poszukiwaniami „Morsa” bardzo szeroko zainteresowana była opinia publiczna – regularnie informowana przez prasę, radio i telewizję. Dzięki środkom masowego przekazu Muzeum Wojska Polskiego wystosowało kilka apeli w stylu: ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... Informacji napływało bardzo dużo, ale siłą

ppłk Michał Sawczyc
fot. Radosław Biczak

rzeczy sprawdzaliśmy tylko te najbardziej wiarygodne. Kiedyś zgłosił się do nas Wacław Andrzejewski, który w trzydziestym dziewiątym roku dowodził centralą telefoniczną trzydziestego szóstego pułku piechoty. Andrzejewski twierdził, że na terenie jego jednostki zakopano broń różnych typów, w tym również „Morsy”. Relacja była konkretna, więc pojechaliśmy tam szukać. Kopaliśmy dziewiętnaście dni, aż przypadkiem zgłosił się jeden z saperów, który w 1961 roku usuwał z terenu jednostki zakopany skład broni. W archiwach odszukaliśmy dokumenty z rozminowania i rzeczywiście – stało tam czarno na białym, że wydobyto między innymi dziesięć karabinów, pistolet, granaty itp. Niestety, „Morsa” nie było.

Innym razem wydawało się, że mamy pewniaka: w 1968 roku przyjechała do Warszawy córka współkonstruktora „Morsa” – Danuta Skrzypińska. Mówiła, że ojciec ukrył jeden peem razem z planami konstrukcyjnymi w ogrodzie, który przylegał bezpośrednio do Warszawskiej Fabryki Karabinów. Pałacyk Skrzypińskiego został zniszczony w czasie powstania warszawskiego i na jego miejscu stoi dwupiętrowy budynek. Mimo to gra wydawała się warta świeczki, bo kto jak kto, ale współtwórca powinien prototyp zabezpieczyć. Pani Danuta twierdziła, że Skrzypiński zakopał starannie zabezpieczony pakiet w pobliżu muru tarasu. Szczęśliwie, udało nam się odtworzyć szczegóły dawnej zabudowy. Żywiej zabiły nam serca, gdy wykopaliśmy zawiniętą w folię paczkę – niestety, były to tylko gazety z 1945 roku...

– Dużo się Pan napracował szukając „Morsa” – można powiedzieć, że jest Pan prekursorem archeologii wojskowej. A jaki był finał tej sprawy?

– Poszukiwania trwały całymi latami ożywając co jakiś czas. Sprawdzaliśmy mnóstwo tropów, ale wszystko na próżno – widać nie było nam pisane znaleźć „Morsa”. Pyta Pan o finał... Skończyło się banalnie – jeden jedyny egzemplarz „Morsa” trafił do Muzeum Wojska Polskiego prosto z Moskwy i proszę mnie nie pytać, jakimi kanałami. Teraz wisi sobie w gablocie i dobrze, bo przecież o to chodziło. Jednego jestem pewien – eksplorator, który znalazłby „Morsa”, miałby na koncie wyjątkowe osiągnięcie.

Rozmawiał
Radosław Biczak

To już koniec „Opowieści sapera”. Wszystkim, których zainteresowały wspomnienia ppłk. Michała Sawczyca, polecam lekturę „Zardzewiałej śmierci”. Wkrótce do księgarń trafi drugie, uzupełnione wydanie.

Jedyny egzemplarz „Morsa” trafił do Muzeum Wojska Polskiego z Moskwy...
fot. Radosław Biczak

WYKRYWACZE METALI

Ceny już od 300 zł

whites BOUNTY HUNTER FISHER

DYSTRYBUTOR FIRMA „VIKING”

Sklep „AZYMUT”, ul. Corazziego 4 lok. 5, 00-087 Warszawa
(przy Placu Bankowym za Błękitnym Wieżowcem)
tel./fax (0-22) 827-66-12

Szybowiska II Rzeczpospolitej

Dwudziestoletni okres rządów II Rzeczpospolitej to nie tylko tworzenie lotnictwa silnikowego, zarówno wojskowego, jak i sportowego. Ogromny wysiłek władz państwowych oraz Ligi Obrony Powietrznej Państwa zaowocował budową sieci lotnisk na terenie całego kraju. (Patrz – „Odkrywca" nr 3/99.)

Władze cywilne i wojskowe dość wcześnie zrozumiały, że naturalnym zapleczem lotnictwa motorowego może być szybownictwo. Masowe szkolenie narybku lotniczego na szybowcach eliminowało mniej zdolnych kandydatów na pilotów, skracając jednocześnie proces podstawowego szkolenia motorowego. Dlatego Zarząd Główny LOPP w porozumieniu z Państwowymi Władzami Lotniczymi wysunął hasło „Przez szybownictwo do pilotażu silnikowego".

Poszczególne Okręgi LOPP działające we wszystkich szesnastu ówczesnych województwach szerzyły propagandę latania. Tworzono kółka szybowcowe, gdzie kandydaci na pilotów szybowcowych zapoznawali się z teorią lotu oraz budową szybowców. Już w 1926 roku wiele komitetów wojewódzkich subsydiowało budowę szybowców, a Zarząd Główny Ligi wraz z Państwowym Instytutem Meteorologicznym i Komitetem Lwowskim zajmował się wyszukiwaniem odpowiednich szybowisk. W tamtym okresie podstawowym i najbardziej rozpowszechnionym sposobem nauki latania było wystrzeliwanie szybowca ze szczytu wzniesienia za pomocą lin gumowych. Sposób ten jest stosowany sporadycznie do dzisiaj jako najtańszy. Do startu szybowca trzeba było udziału dziewięciu osób łącznie z pilotem oraz instruktorem. Niewielkie wzgórza rozsiane na terenie całego kraju pozwalały tylko na początkowy etap podstawowego szkolenia, to jest do kategorii A i B. Szybowiska szkolące do kategorii C ułożyły się równoleżnikowo w południowej Polsce, co widać na załączonej mapce. Z siedmiu szkół kategorii C działających w okresie międzywojennym funkcjonuje do dzisiaj szybowisko na górze Żar w okolicy Żywca. Działa tam wyciąg szynowy transportujący szybowce na miejsce startu. Zmieniono też wygląd szczytu góry budując duży zbiornik wody służący do poruszania turbin elektrowni wodnej na Sole. W latach pięćdziesiątych latano jeszcze z lin gumowych w Mosinie pod Poznaniem, Fordonie, Rzadkowie, Polichnie, Miłosnej pod Warszawą, Tęgoborzu i Bodzowie pod Krakowem. Z lat 1946 i 1947 pamiętam dwie szkoły: Łęki Strzyżowskie niedaleko Krosna i Ligotkę Dolną na stokach Góry Świętej Anny. Obydwie szkoliły do kategorii B. Start z lin gumowych został stopniowo wyparty przez zastosowanie wyciągarek lub holujących samolotów. Loty holowane, znane przed II wojną, pozwalały na szkolenie w terenie płaskim, mogły się więc odbywać na lotniskach aeroklubów.

Nie znano wtedy jeszcze wyciągarek (były próby ich wprowadzania), a funkcję tę spełniały specjalnie przystosowane samochody osobowe. Ten sposób szkolenia umożliwiał masowy trening młodzieży, gdyż lotniska aeroklubów znajdowały się w pobliżu miast wojewódzkich. (Dogodny dojazd.)

Wracając do szybowisk kategorii C, omówię pokrótce dwa z nich, mianowicie Bezmiechową i Ustianową. Obydwie szkoły znajdują się w Bieszczadach. W okresie międzywojennym odegrały doniosłą rolę w szkoleniu wyczynowym. Bezmiechowa została odkryta przez grupę działaczy-pilotów ze Lwowa ze Szczepanem Grzeszczykiem i Wacławem Czerwińskim na czele. Nastąpiło to 23 października 1929 roku. Od tej chwili los niepozornej górskiej wioski i leżącej obok góry Słonne zmienił się nie do poznania. W krótkim czasie na grzbiecie Słonnego (625 m n.p.m.) powstała nowoczesna szkoła z dwoma hangarami oraz budynkiem kierownictwa, gdzie było także kasyno i pomieszczenia mieszkalne. Zagubiona gdzieś w Bieszczadach wieś odżyła finansowo zarabiając na transporcie materiałów budowlanych, a później – szybowców z lądowiska obok wsi na szczyt góry. Podobno w każdym gospodarstwie znalazł się młody człowiek chętny do latania – no i latali.

Jeszcze przed rozpoczęciem budowy szkoły Szczepan Grzeszczyk wykonuje w Bezmiechowej lot na długotrwałość: 2 godziny i 11 minut, ustalając na szybowcu CW-11 rekord Polski. Rok 1931, 16 października – oblot szybowca wyczynowego SG-21 „Lwów" (pilot Szczepan Grzeszczyk) w locie za samolotem PZL-5. To pierwszy lot wleczony w Polsce. 17-18 października – Sz. Grzeszczyk na tym samym szybowcu (własnej konstrukcji) wykonuje przelot wleczony na trasie Warszawa-Lwów-Bezmiechowa o długości około 500 km. 19 października Sz. Grzeszczyk na szybowcu SG-21 ustala nowy rekord Polski w locie nad zboczem: 7 godzin, 52 minuty i 45 sekund.

14 kilometrów na południowy wschód od Bezmiechowej, koło wsi Ustianowa leży góra Żuków, która ma identyczne jak góra Słonne warunki do lotów żaglowych. Ustianowa została odkryta w roku 1932 przez szybowników wojskowych i od tego czasu wojsko urządzało tam coroczne obozy szkoleniowe. Był to dodatkowy przedmiot wyszkolenia lotniczego dla personelu latającego. Pisał o tym Janusz Meissner w książce „Opowieści pogodne", w rozdziale „Kategoria C".

Dogodne położenie w stosunku do Ustrzyk Dolnych, linia kolejowa i dobra droga biegnąca na granicy szybowiska spowodowały zorganizowanie w Ustianowej I Krajowego Konkursu Szybowcowego. 29 września 1935 roku piloci Plenkiewicz i Oleński, mając za sobą całodzienny lot, kontynuują go w nocy, ustanawiając tym jednocześnie rekord długotrwałości: 20 godzin, z tego 11 godzin i 15 minut lotu nocnego, licząc od zachodu do wschodu słońca. 30 września Maria Younga ustanawia w jednym locie dwa rekordy kobiece, a mianowicie rekord wysokości – 2235 metrów i odległości – 44,6 kilometra.

1 października pilot Baranowski ląduje w Zamościu po przebyciu 142 kilometrów. Pilot wojskowy por. Włodarkiewicz, uczestnik ostatniego Challenge'u, w dniu 4 października osiągnął wysokość 2630 metrów.

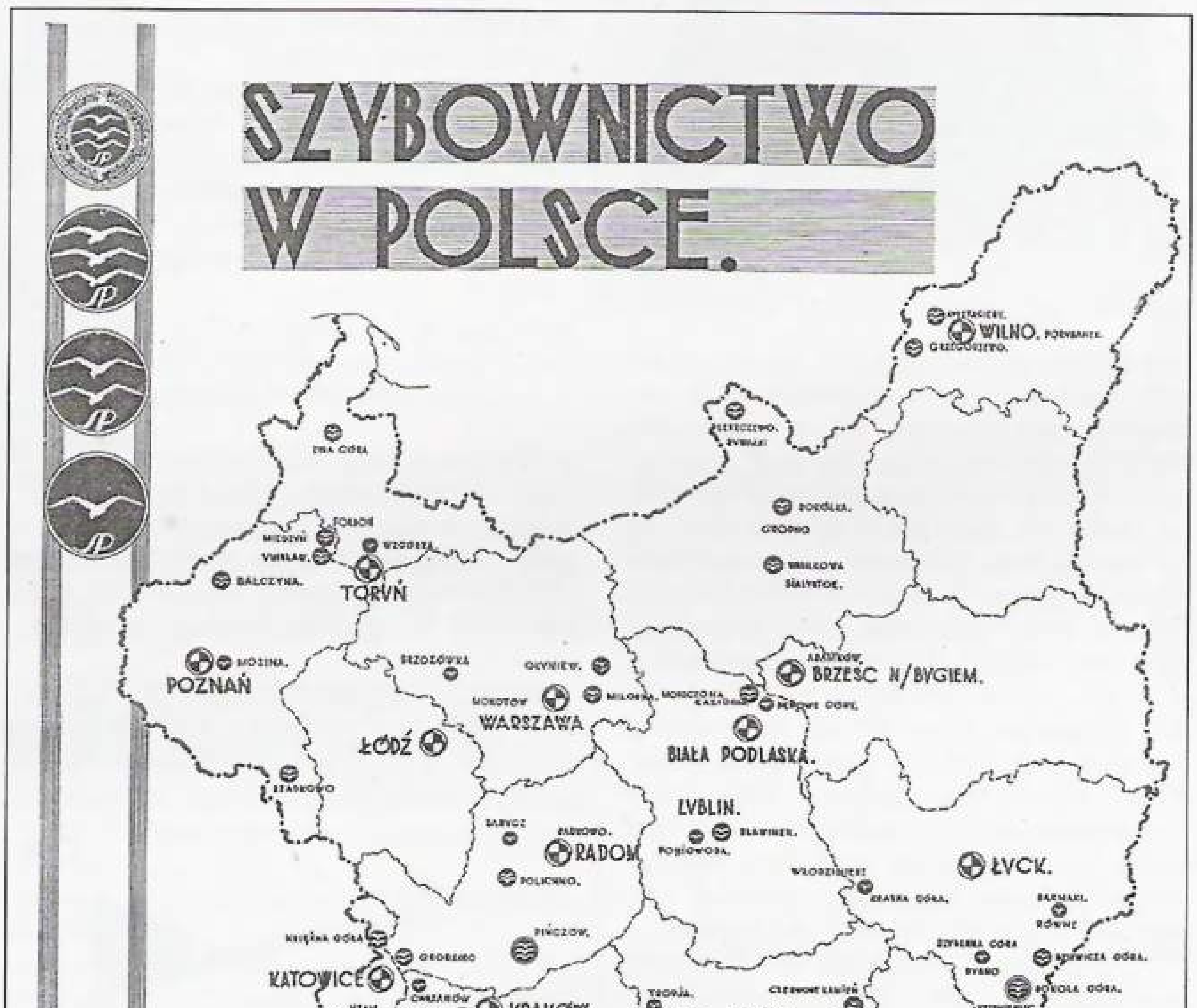

Mapka zamieszczona w „Skrzydlatej Polsce" z 1936 r. (nr 3-4)

W ten sposób obydwa bieszczadzkie szybowiska rozpoczęły konkurencję, która niejednokrotnie owocowała krajowymi rekordami.

W roku 1935 szkoła w Bezmiechowej podjęła po raz pierwszy w kraju wykorzystanie radia na użytek szybownictwa. Natomiast w grudniu tego roku Międzynarodowa Federacja Lotnicza (FAI) przyznaje pierwszym polskim pilotom szybowcowym „Srebrne Odznaki Szybowcowe". Otrzymali je: Piotr Mynarski, Bolesław Baranowski, Michał Offierski, Zbigniew Żabski i Szczepan Grzeszczyk.

W kolejnych krajowych zawodach szybowcowych w Ustianowej ustanowiony rok wcześnie rekord wysokości pobiło aż trzech zawodników, rekord przelotu na odległość pobito dwukrotnie (poprzedni rekord krajowy wynosił 210 km), a rekord odległości (142 km) – aż piętnaście razy. W tych zawodach pilot Żabski przekroczył wysokość 3500 m. Również w lipcu 1936 r. pilot Bolesław Baranowski ustanowił na szybowcu SG-3 bis 35 nowy rekord Polski w odległości przelotu – 332 km (Ustianowa – Darabani w Rumunii). Nie jestem w stanie wymienić wszystkich osiągnięć naszych szybowników do roku 1939. 18 maja 1938 późniejszy uczestnik bitwy o Anglię Tadeusz Góra ustanowił na szybowcu PWS-101 rekord Polski w przelocie otwartym. Przed startem zażartował, że leci odwiedzić rodziców. Słowa dotrzymał przelatując trasę Bezmiechowa – Małe k. Wilna, skąd pochodził.

Za ten wyczyn, to jest przelot długości 578 km, otrzymał jako pierwszy szybownik na świecie świeżo ustanowiony przez FAI medal Liljenthala.

Obecnie z trudem można znaleźć wyciągarkę w aeroklubie. Podstawą szkolenia stały się loty wleczone za samolotem przy pomocy stalowej liny. Jest to metoda droga i koszty szkolenia młodych ludzi są bardzo wysokie. Gdzie te czasy, gdy wystrzeliwano w powietrze szybowiec, który przy sprzyjających warunkach mógł całymi godzinami żeglować nad zboczem góry...

Kilka lat temu grupka zapaleńców zorganizowała w Bezmiechowej festyn lotniczy z udziałem szybowców i samolotów. Po przeszło pięćdziesięciu latach wystartował ze zbocza dwuosobowy szybowiec z weteranem pilotem wyszkolonym tam przed wojną. Celem festynu było przypomnienie tradycji górskiego latania i cicha nadzieja rewindykacji szybowiska. Trudna to sprawa, gdyż po zabudowaniach pozostały fundamenty porośnięte krzakami. Po 1945 roku budynki zostały częściowo rozebrane przez bandy UPA w celu budowy leśnych bunkrów. Tym, co pozostało, zajęła się wieś. Po raz drugi byłem w Bezmiechowej i Lesku na spotkaniu starej lotniczej wiary. Honorowym gościem był Tadeusz Góra i jego historyczny model wyjmowany specjalnie z gabloty. W sąsiedniej gablocie leżała kronika Aerokulbu Podkarpackiego z roku 1946. Pierwsze osiągnięcie aeroklubu to otrzymanie aż trzech samolotów Po-2 i dwóch pierwszych grup szybowników szkolonych w Łękach Strzyżowskich. Miło było po pięćdziesięciu pięciu latach zobaczyć grupę kolegów szybowników i siebie niosącego na czele defilady sztandar aeroklubu. Było i minęło, a jednak nad zboczem Słonnego w okresie letnim od czasu do czasu pojawiają się szybowce i paralotnie. Dużym osiągnięciem jest wykup sporego terenu i jego częściowe przystosowanie do lotów. Dzieje się to na koszt osób prywatnych (szybowników) mających nadal nadzieję, że jedno z najlepszych ongiś szybowisk w Europie wróci chociaż częściowo do życia.

Z publikacji „XV-lecie LOPP", wydanej w 1938 r.

Historia szybowisk Polski przedwrześniowej potoczyła się podobnie jak historia lotnisk. Zajęte przez Niemców i Rosjan, zostały częściowo zniszczone, a ocalały sprzęt – rozgrabiony i używany nadal przez okupantów. Szybowce konstruowane przez naszych konstruktorów – Szczepana Grzeszczyka, Antoniego Kocjana, Wacława Czerwińskiego i Stanisława Jaworskiego – były dobrze znane w kraju i za granicą. Niektóre z nich przetrwały wojnę w ukryciu i po wyzwoleniu latały nadal, a obecnie służą jako eksponaty w Muzeum Astronautyki i Lotnictwa w Krakowie. Jeden egzemplarz „Salamandry" (nr fabryczny 41, zbudowany w 1937 r. w WWS) przetrwał wojnę i w roku 1945 otrzymał znaki SP-139. Na podstawie tego egzemplarza inż. Jan Niespał, inż. R. Matz i inż. M. Gracz w 1945 r. w Ośrodku Szybowcowym w Bielsku zrekonstruowali dokumentację techniczną szybowca. W Polsce wyprodukowano 264 sztuki. „Salamandry" zbudowano na licencji w Chińskiej Republice Ludowej, a były używane w Bułgarii i Wietnamie. Historia budowy szybowców w okresie międzywojennym jest bardzo bogata i wymaga osobnego opracowania.

Zbigniew Inglot

Stan szybownictwa w poszczególnych państwach

Nr. kol.	Państwo	Ogólna ilość pilotów	Ilość pilotów				Rekordy narodowe		
			kat. A	kat. B	kat. C	kat. D	wys. w m	przel. w km	czas
1	Niemcy	ponad *10000*				*160*	*4325*	*504*	*36 g. 35 m.*
2	Polska.	*3662*	3 000		*643*	*19*	*2630*	*210*	20 g. 13 m.
3	Włochy	*1817*	1500	270	47	0			
4	Francja	1169	662	385	*161*	1			
5	Szwajcarja. . . .	816	489	247	78	2	1850	132	10 g. 25 m.
6	Aŭstrja	740	392	238	110	2	1910	142	14 g. 4 m.
7	Węgry.	700			14	4	1840	85	*24 g.* —
8	St. Zjedn. A. P. .	391	0	237	154	*10*	*1935*	*254*	*21 g. 34 m.*
9	Holandja	242	190	46	6	0			
10	Hiszpanja	236	172	50	14	0			9 g. 13 m.
11	Finlandja	80			14	0			
12	Brazylja					0	1350	21	2 g. 5 m.

Tabela powyższa nie jest kompletna, gdyż nieznane nam są cyfry, dotyczące niektórych państw. Poza wymienionemi uprawiają szybownictwo w Rosji (masowo), Anglji oraz, w mniejszym zakresie, w Rumunji, Bułgarji, Danji, Estonji, Łotwie i Egipcie.

Fragment artykułu opublikowanego w „Skrzydlatej Polsce" nr 3-4 z 1936 r.

Następny tajny wyk

W pierwszym numerze tegorocznym opublikowaliśmy „Wykaz obiektów opuszczonych i niewłaściwie zagospodar (Rozmowa z ppłk. Wcisłą – „Odkrywca" nr 2/99.) Teraz zamieszczamy podobne zestawienie, sporządzone w ment wytropił w Centralnym Archiwum Wojskowym współpracujący z naszą redakcją Zbigniew Rekuć, rzeczoz w poprzednio prezentowanym wykazie występują również na „liście Rekucia", jednak ich opisy są różne. Będ biorąc pod uwagę obie listy.
Dokument publikujemy w wersji oryginalnej, bez adiustacji.

ZESTAWIENIE OBIEKTÓW PODZIEMNYCH I SCHRONÓW, UZYSKANE Z CZ

Lp.	Położenie obiektu				Charakterystyka obiektu		
	Województwo	Powiat	Gmina lub Nadleśnictwo	Miejscowość w pobliżu której znajduje się obiekt	Rodzaj obiektu	Orientacyjne dane	Obecny stan obiektu, kto się opiekuje i wykorzystuje
1	2	3	4	5	6	7	8
1	Wrocław	Kamienna Góra	Pisarowice Nadl. Dolina	Leśn. Różanka Mapa „Antonienwald"	Fabryka podziemna amunicji	Trudno ustalić gdyż wejście pod ziemię zamaskowane	Od czasu ustąpienia okupanta aż do dnia 10.06.49 r. była w korzystaniu Armii Radzieckiej, obecnie nikt się nie opiekuje
2	Wrocław	Wałbrzych	Nadl. Głuszyna	Leśnictwo Girzcze Dolne	podziemne schrony	pobudowane pod skałami na przestrzeni kilkunastu kilometrów prawdopodobnie w celu rozmieszczenia fabryk wzgl. dowództwa wojskowego	Pobudowane z betonu i stali. W obecnej chwili bez opieki i nikt nie użytkuje.
3	Wrocław	Bystrzyca	Nadl. Międzylesie	Leśn. Międzylesie Zachód Oddz. 2	Korytarz wykonany w skale w nieczynnym obecnie wapienniku	Ściany korytarza częściowo betonowe a częściowo murowane wymiary: 40x2, 5x2 metry	W stanie zniszczonym ale łatwo można by doprowadzić do porządku
4	Wrocław	Środa Śląska	gm. Lotynia Nadl. Miękinia	Leśnictwo Mrozów, oddz. 1 karta 2826	6 magazynów żelbetonowych pobudowanych na powierzchni 8 podobnych magazynów zburzonych. 7 budynków murowan. z cegły typu koszarowego	Wymiary magazynów: 20x11x2,5 mtr, wymiary budowli: 45x13x3 mtr	6 magazynów nadaje się w każdej chwili do użytku. 8 magazynów zburzonych. Budynki koszarowe bez drzwi i okien. Instalacja elektryczna podziemna.
5	Wrocław	Milicz	Nadl. Milicz	1,5 km od m. Milicza w kier. pd-zach.	budynek nadziemny prawdopodobnie użytkowany był jako magazyn na amunicję	betonowy obłożony ziemią o wymiarach: 8x4x2,5 mtr położony przy b. poniemieckiej strzelnicy	nadaje się do użytku. Strzelnica, obok której budowla jest położona jest obecnie użytkowana przez S.P. oraz W.F. i P.W. a czy omawiana budowla jest w ewidencji i użytkowana nie jest wiadomem
6	Wrocław	Trzebnica	gm. Trzebnica, Nadl. Młociny	Leśn. Gruszeczka, Oddz. 190a	13 nieczynnych schronów na amunicję	11 schronów betonowych o rozm. 10x5x2 m 1 schron betonowy o rozm. 18x9 m i 1 schron betonowy o rozm. 5x4x5 m. W każdym schronie jedno pomieszczenie	2 schrony w stanie dobrym, reszta zalana wodą deszczową. Nie są używane i nikt się nie opiekuje
7	Wrocław	Trzebnica	gm. Wisznia Mała, Nadl. Oborniki	Leśn. Łąka oddz. 197d, karta 2767 „Wiese" prawo 64 33,940 wysoko 56 79250	dwa baraki magazyny	żelbetonowe o podłodze betonowej, kryte papą każdy o wym. 37x10x3,70 mtr	stan dobry, brak drzwi i okien, dachy wymagają smołowania. Nie wykorzystane, są pod opieką leśniczego leśn. Łąka
8	Wrocław	Trzebnica	gm. Trzebnica Nadl. Oborniki	Leśn. Bukówka karta 2706 „Trebnitz" prawo 64 36260 wysoko 56 85.300	dwa baraki magazyny 1 barak wartownia	żelbetonowe o podłodze betonowej, kryte papą, każdy o wym. 8,40x6x2,40 m. Wartownia żelbetonowa o podłodze betonowej, kryty papą o wymiar. 6x4x2,75 mtr	stan baraków dobry, brak drzwi i okien, dachy wymagają smołowania. Nie wykorzystane, są pod opieką leśn. Bukówka
9	Wrocław	Jelenia Góra	gm. Piechowice Nadl. Piotrowice	Leśn. Michałowice Oddz. 64, odległ. 700 m.b. od wytwórni nr 10 w Piechowicach	dwa schrony (prawdopodobnie na amunicję)	wykute w skałach 1) o wym. 70x2x2 mtr o dwóch wylotach 2) 12x2x2 mtr	stan dobry. Nie wykorzystane pod opieką Nadleśnictwa
10	Wrocław	Oława	gm. Bystrzyca, Nadl. Oława	Leśn. Nowy Dwór oddz. 20	schron betonowy	konstrukcja betonowa 3 pomieszczenia o wym. 12x7x8,3 mtr	stan dobry, pomieszczenia zasypane piaskiem. Nie wykorzystany pozostaje bez opieki
11	Wrocław	Milicz	gm. Cieszków, Nadl. Podarz	Leśn. Zwierzyniec oddz. 27 100 mb od skraju lasu 500 m.b. za wioską Cieszków	Mielarz dla produkcji węgla drzewnego	budowany z cegły z szerokim gankiem do 5-ciu mtr w około właściwego pieca z wylotami kominowymi ponad ziemią 30 mtr 3-4 mtr pod ziemią w około pieca bardzo obszerne ganki z dużą pojemn. magazynową	stan dobry. W czasie ostatniej wojny opiekowało się rzekomo wojsko, obecnie N-ctwo Podarz. Obiekt niewykorzystany

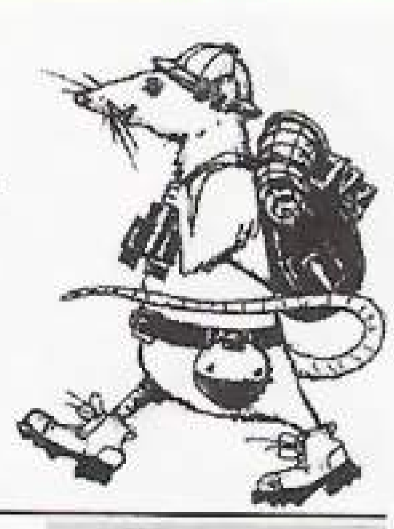

az – „lista Rekucia"

...ych" – tajny dokument z 1953 roku, znaleziony cztery lata temu przez ppłk. Henryka Juliana Wcisłę.
...rze Wojskowym Ministerstwa Leśnictwa i opatrzone datą 6.03.1950 r. oraz klauzulą „tajne". Niniejszy doku-
...ca Ministra Kultury i Sztuki w dziedzinie podziemnych zabytków techniki. Niektóre obiekty wymienione
...my nadal szli tropem tajemniczych podziemnych kompleksów, fabryk i obiektów niewiadomego przeznaczenia,

...ECH CENTRALNYCH ZARZĄDÓW PODLEGŁYCH MINISTERSTWU LEŚNICTWA

Lp.	Położenie obiektu				Charakterystyka obiektu		
	Województwo	Powiat	Gmina lub Nadleśnictwo	Miejscowość w pobliżu której znajduje się obiekt	Rodzaj obiektu	Orientacyjne dane	Obecny stan obiektu, kto się opiekuje i wykorzystuje
1	2	3	4	5	6	7	8
12	Wrocław	Kłodzko	gm Ludwikowice Kłodzkie Nadl. Przygórze	Leśn. Zdrojowisko	6 magazynów betonowych poamunicyjnych nadziemnych	Z tych 3 każdy o wym. wewn. 9x4.4x2.3 mtr o zamaskowanym dachu darnią. Następne 3 o wym. 12x6x2.3 mtr zupełnie zamaskowane porosłe lasem	stan dobry. Nieużytkowane pod opieką Nadleśnictwa
13	Śląsko-Dąbrowskie	Kluczbork		Leśn. Kluczbork	betonowe schrony przeciwlotnicze	położone przy ulicy prowadzącej z dworca kolej. do miasta przypuszczalnie mogą pomieścić 200-250 ludzi	prawdopodobnie betonowe w ziemi pokryte ziemią. Prawdopodobnie pod zarządem m. Kluczbork lub władz kolejowych stacji Kluczbork
14	Śląsko-Dąbrowskie	Kluczbork	Nadl. Wołczyn	Leśn. Wołczyn	schron obrony przeciwlotniczej	położony przy urzędzie pocztowo-telekomunikacyjnym przy ul. Dworcowej nr 9 mogący pomieścić 100-150 ludzi	prawdopodobnie betonowy. Jest pod zarządem Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego w Wołczynie
15	Szczecin	Kamień Pomorski	Golczewo	Leśn. Sosnowice	magazyny amunicyjne	budynki podziemne 16 sztuk	do wykorzystania jako schrony
16	Szczecin	Wolin	Warnowo	Leśn. Międzyzdroje oddz. 223-225	koszary		zajęte przez Marynarkę Wojenną
17	Szczecin	Gryfina	Rozdoły	Leśn. Radziszewo oddz. 66-67	schrony betonowe	11 sztuk schronów nadziemnych	zajęte przez wojsko
18	Szczecin	Strzelce Krajeńskie	Nadl. Wołogoszcz	wzdłuż rzeki Drawy	bunkier	1 bunkier betonowy	do wykorzystania na schron dla ludzi
19	Szczecin	Łobez	Nadl. Płoty	Leśn. Orłowo	schrony betonowe	na byłym lotnisku, częściowo zrujnowane	całość pod opieką wojska
20	Poznań	Sulęcin	gm. Słońsk Nadl. Lemieszyce	obok stacji kolej. Lemieszyce	fabryka amunicji art. o napędzie elektrycznym	30 budynków barak, 3 podziemne	częściowo zajęte przez Spółdz. Społem, całością opiekuje się wojsko
21	Łódź	Rawa Mazowiecka	Nadl. Glinna	Leśn. Konewka oddz. 149	1) schron żelbetonowy dla pociągów o wym. 470x15 mtr 2) schron żelbet. elektrownia o wym. 30x25 mtr 3) schron żelbet. do tłoczenia powietrza o wym. 20x25 mtr		schrony pobudowane przez okupanta
22	Białystok	Kolneński	Czerwone	wieś Kozioł	dwa bunkry betonowe, prawdopodobnie schrony przeciwlotniczo-gazowe	w każdym z nich może pomieścić się do 20 osób	
23	Warszawskie	Grójecki	gm. Czersk	Czersk k/Góry Kalwarii	pod kościołem silny schron betonowy na dwa stanowiska C.K.M. i działo	może pomieścić do 30 osób. Oprócz tego pod kościołem istnieją głębokie schrony mogące pomieścić do 150 osób	
24	Gdańskie	Morski	gm. Kosakowo, Nadl. Chylonia	Leśn. Dębogórze oddz. 262, obiekt położony jest na skraju lasu w gromadzie Pogorze w odległości 1 km od Państw. Rzeźni w Gdyni	trzy budynki wybud. przez okupanta na zbrojownie torped. Budowa z żelbetonu głęboko podpiwniczne, dach żelbetonowy. Dwa budynki stanowią hale fabryczne, trzeci natomiast na parterze magazyny, piętro lokal biurowy	Wymiary: 1) hala wydzierżawiona 49.5x13x7.5 mtr 2) hala wolna 27x13x7.5 mtr 3) blok częściowo zamieszkały 40.5x10.5x7 mtr	Ściany żelbetonowe zachowane dobrze, dach wymaga remontu. W budynku z lokalem biurowym na piętrze zakwaterowano dwie rodziny robotnicze po uprzednim przebudowaniu części tegoż lokalu

Dokończenie w następnym numerze.

Drukujemy przedwojenne mapy

To już ostatni fragment przedwojennej niemieckiej mapy Gór Wałbrzyskich i Sowich. Od najbliższego numeru zajmiemy się północnymi rejonami Polski – zapraszamy na Mazury sprzed sześćdziesięciu lat.

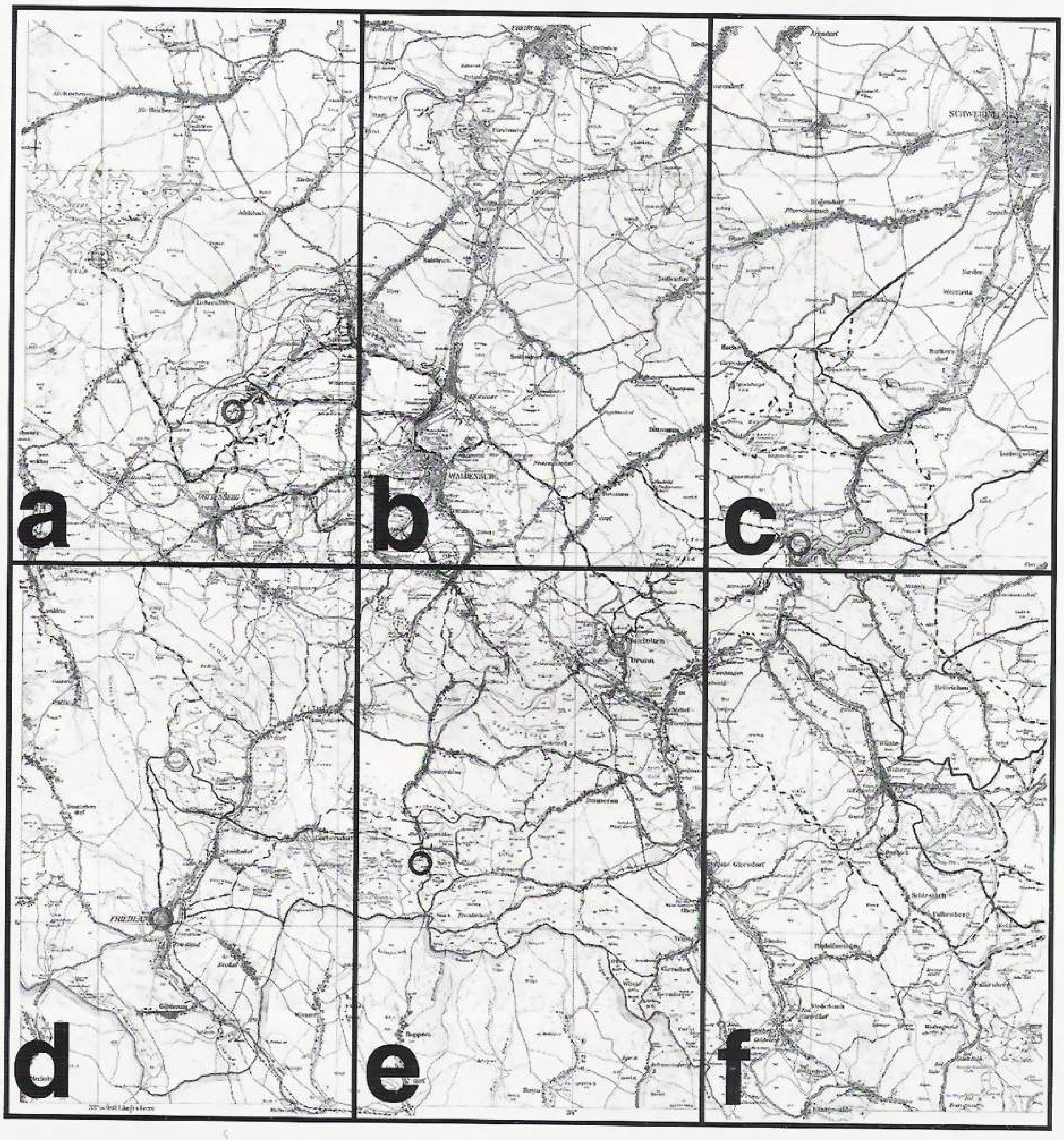

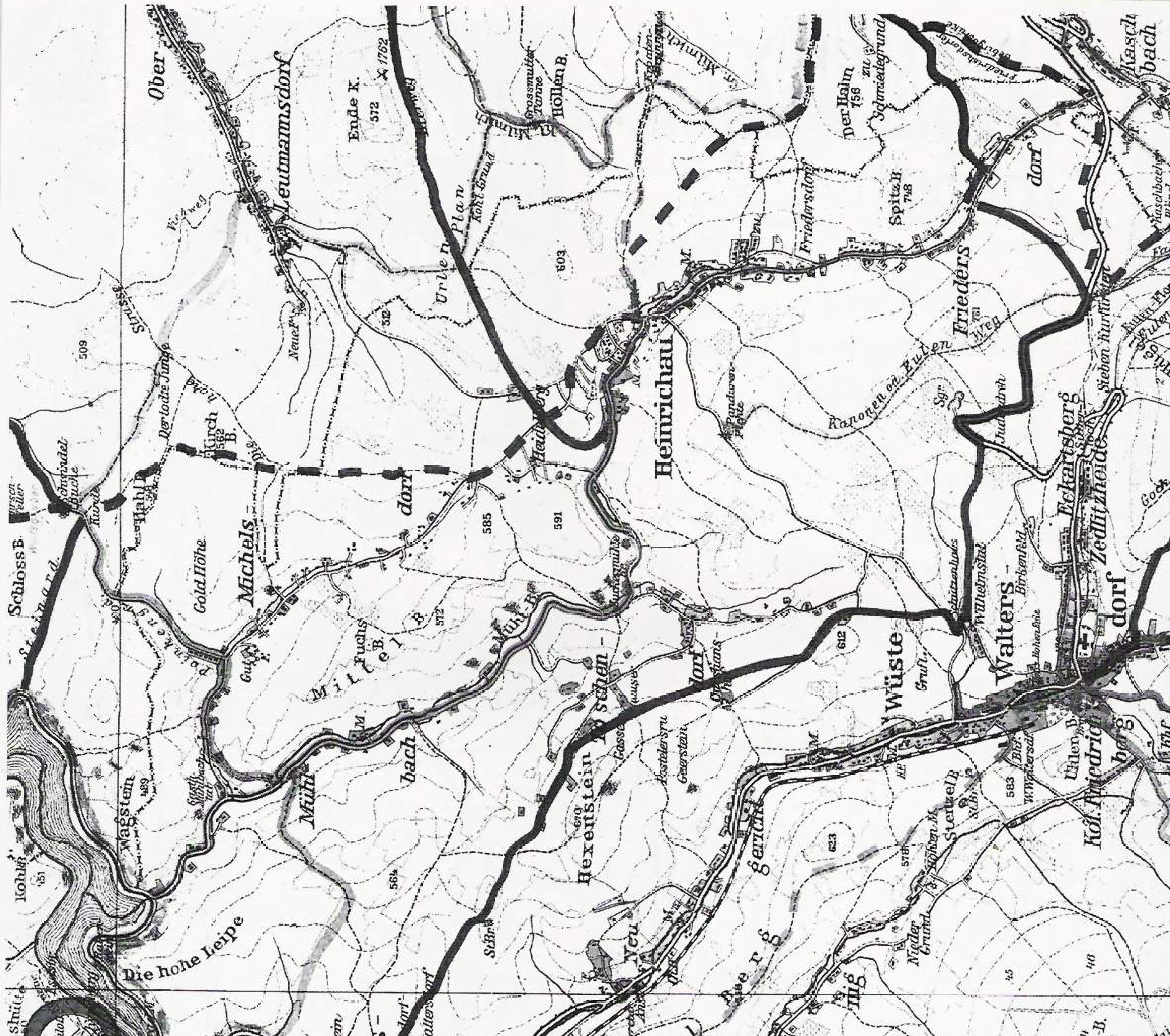

TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

ODKRYWCA

Wüste-Giersdorf
Ober
Wüste
Giersdorf
Schlesisch-Falkenberg
Falkenberg
Kol. Eulenburg
Dorfbach
Ober-Dorfbach
Rudolfswaldau
Dörnhau
Niederbusch
Kol. Wenzeldorf
Neu Wüste Giersdorf
Kol. Goldwiese
Goldwasser
Beutengrund
Königswalde
Kol. Heidenberg
Kol. Eule
Weitengrund
Kol. Städt. Eule
Kol. Herrngrund
Forst
Rother-B.
Stein-B.
Plan B.
Neumanns Koppe
Eule
Grund
Kammweg

f

Podziemne trasy turystyczne w Polsce

Piwnice w Sandomierzu

Sandomierz położony jest na wysokim lewym brzegu Wisły, na krawędzi Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej. Najstarsze osadnictwo sięga tu połowy XI wieku. Najprężniej miasto rozwijało się od połowy XIV w. do końca XVI w. Właśnie wtedy znacznie zwiększył się udział miejscowych kupców w wielkim handlu, a handlowy szlak wiślany zaczął odgrywać coraz ważniejszą rolę. Do Gdańska spławiano zboże, handlowano drewnem i produktami spożywczymi. I tak powstały kupieckie fortuny. Zaowocowały one rozwojem budownictwa mieszczańskiego. W tym właśnie czasie pod kamienicami, jezdniami, placami i podwórkami w warstwach lessu wydrążono system piwnic pełniących funkcję magazynów. Ich głębokość dochodziła niekiedy do 15 metrów. Gdy załamała się koniunktura, piwnice-magazyny stały się niepotrzebne – zasypano je gruzem i śmieciami.

Sandomierska starówka położona jest na lessie – skale, która w zetknięciu z wodą traci swoje cechy wytrzymałościowe, co powoduje osiadanie budynków i powstawanie zapadlisk. Kilka poważnych katastrof zmobilizowało naukowców do podjęcia prac badawczych, a następnie zabezpieczających sandomierskie lochy. W ich wyniku większość piwnic zlikwidowano poprzez wypełnienie ich mieszaniną lessu z dodatkiem szkła wodnego lub cementu. Część jednak zachowano, a dla turystów zaprojektowano podziemną trasę turystyczną. Jej długość wynosi ok. 450 metrów, najniżej położona komora ma głębokość prawie 12 metrów. Wejście do podziemi prowadzi z dziedzińca Kamienicy Oleśnickich, a wyjście znajduje się przy ratuszu na Rynku. Trasa powstała przez połączenie piwnic budynków przy ulicy Opatowskiej 1, 2, przy zachodniej stronie Rynku od 10 do 5 oraz pod ulicami Oleśnickich, Opatowską, Bartolona i Rynkiem. W piwnicach zachowano pierwotne obmurowania. Trasa wiedzie przez 34 komory na różnych poziomach. Nazwy nawiązują do legend, historii i architektury. I tak kolejno zwiedzamy Komnatę Haliny Krępianki, Salę Oleśnickich, Komorę Koszową, przechodząc Chodnikiem Leszka Białego do Sali Kazimierza Wielkiego. Następną i jedną z najciekawszych komór jest tzw. Komora Gotycka o zachowanej starej, oryginalnej, ażurowej obudowie. Nad ostatnim łukiem widać fragment otwartej ściany lessowej, a na krawędzi sklepienia cegłę z wyrytym rysunkiem. Dalej szlak prowadzi przez Komorę pod Frontonem, Korytarz Straceńców, Salę Katowską i Kamienne Schodki, wiodące przez Ciasny Targ ku Sali Kolebkowej, Sali Tatarskiej, do Chodnika Kuszników, a stamtąd do Komory Znalezisk, gdzie wyeksponowano starą ceramikę.

Prawie w całości zachowane sklepienia, ściany i gotycki portal z ciosu kamiennego są ozdobą Komory z Portalem. Następnie przechodzi się przez Salę Narożną, Chodnik Upadowy, Komorę Łukową, Komnatę Rycerską, Jarmarczną Budę, Korytarz z Wnękami, Ślepy Zaułek do Sali Bobolów, gdzie podziwiać można sgraffito obrazujące wysadzenie zamku w Sandomierzu w czasie najazdu szwedzkiego. Korytarzem Bakalarzy, później przez Salę Kmicica, Korytarz Żakowskiego, Komorę Flisów, Chodnik Rękodzielników, Komory Kupieckie, Salę pod Bursą, Chodnik Górniczy i Szyb Gwarków dochodzimy do Sali Rady Miejskiej – ostatniej sali na trasie. Znajduje się ona pod płytą Rynku, obok ratusza, który od XIV w. był siedzibą władz miasta.

Lochy czy jedynie piwnice? Wiele legend powstało o sandomierskich podziemiach, które służyły nie tylko do składowania towarów, ale w czasach wojen były schronieniem dla mieszkańców. Kryją pewnie niejedną tajemnicę.

Podziemna Trasa Turystyczna w Sandomierzu czynna jest codziennie w godzinach od 10.00 do 17.00. Bilet dla osoby dorosłej kosztuje 5 zł, ulgowy 3 zł. Sandomierz, Rynek 10, wejście od ulicy Oleśnickich.

Tekst Jola Dudziak
Zdjęcia Marek Dudziak

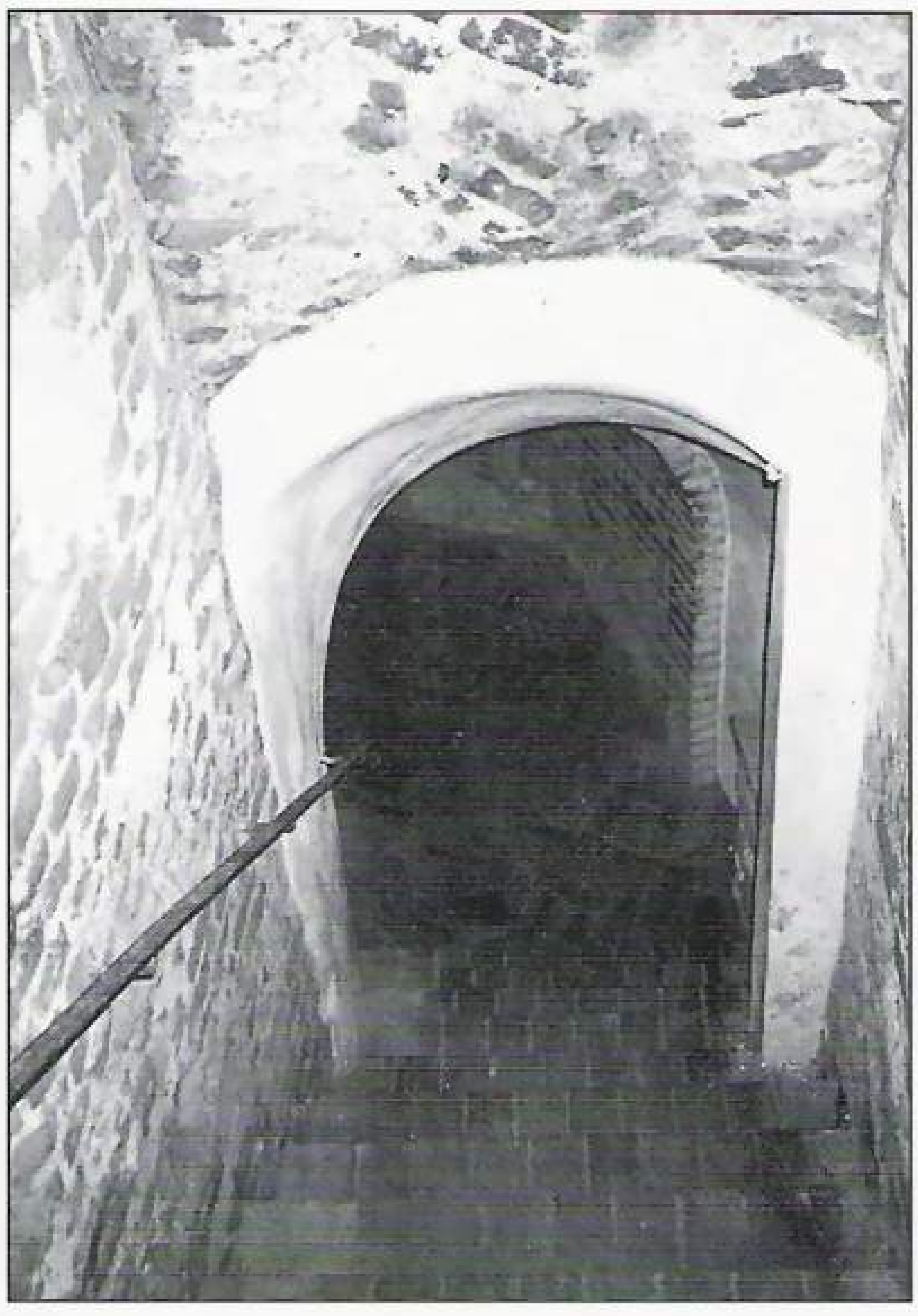

Wejście do zabytkowych piwnic pod sandomierską starówką prowadzi z Kamienicy Oleśnickich

W drodze po Koronę Ziemi

ROZMOWA Z JERZYM KOSTRZEWĄ – PODRÓŻNIKIEM, PIERWSZYM POLAKIEM, KTÓRY ZDOBYŁ PIRAMIDĘ CARSTENSZA, NAJWYŻSZY SZCZYT AUSTRALII I OCEANII

Poznański podróżnik Jerzy Kostrzewa postanowił zdobyć Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty na wszystkich siedmiu kontynentach. Do tej pory wszedł na McKinley'a, Aconcaguę, Elbrus, Kilimandżaro i – 12 lipca br. – na Piramidę Carstensza. Dwa dni później na najwyższej górze Australio-Oceanii znalazł się drugi Polak – Kuba Jakubczyk z Gdańska. (On też zdobywa Koronę Ziemi. Pozostał mu tylko Everest.) Wśród kilkunastu osób, które oglądały świat z „dachów" siedmiu kontynentów, nie było jeszcze naszego rodaka.

– Dlaczego Polacy wcześniej nie wchodzili na Piramidę Carstensza?

– Do początku lat dziewięćdziesiątych Indonezja, nastawiona bardzo antykomunistycznie, prawie nie wpuszczała Polaków i uzyskanie wizy indonezyjskiej stanowiło ogromny problem. Poza tym ta góra ma w ogóle niewiele wejść, bo jest niedostępna z przyczyn politycznych. Leży w zachodniej części Nowej Gwinei, w należącym do Indonezji rejonie Irian Jaya, a ten rejon władze indonezyjskie bardzo często zamykają i nikt z zewnątrz nie ma wstępu. Dlaczego? Ponieważ tam są najbogatsze złoża złota, miedzi i srebra na świecie. W latach sześćdziesiątych Indonezyjczycy wyparli Holendrów z Irian Jaya. W latach siedemdziesiątych podpisali umowę z Amerykanami na eksploatację; Amerykanie dali technologię i infrastrukturę, Indonezyjczycy – złoża. W utworzonej spółce joint venture dziewięćdziesiąt procent udziałów należało do Ameryki, a dziesięć procent do Indonezji. Mówi się, że z tych dziesięciu procent dziewięć jest własnością rodziny Suharto, czyli ostatniego panującego prezydenta Indonezji. Jasne, że władze nie chcą, by jakiekolwiek wyprawy kręciły się w Irian Jaya.

– Jeżeli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze...

– Właśnie. Dzienne obroty kopalni wynoszą minimum dziesięć milionów dolarów, a to tylko ze sprzedaży rudy! Już kiedyś o mało nie doszło do wojny rosyjsko-amerykańskiej o Irian Jaya, teraz zanosi się na konflikt między Chinami a Ameryką. Wciąż toczą się lokalne wojny, między wioskami. Papuasi, podbici przez Indonezyjczyków, walczą niby o wyzwolenie się spod ich wpływów, ale o motywach tych ruchów niepodległościowych i o tym, kto właściwie jest zainteresowany, by wybuchały, można by dużo mówić. Oczywiście – chodzi o przejęcie kontroli nad bogactwami naturalnymi. Daleka, wielka polityka...

– A człowiek, który po prostu chce wejść na znajdujący się przypadkiem właśnie tam szczyt, trafia w sam środek politycznych rozgrywek. Nie da się inaczej?

Poznaniak wśród Papuasów

– Niestety, nie. Na Piramidę Carstensza prowadzą tylko dwie drogi: z północy i z południa. Aby się dostać do podnóża góry od północy, trzeba iść dziesięć – czternaście dni przez dżunglę tropikalną. Oczywiście, konieczne jest pozwolenie na lądowanie na tamtym terenie. Droga z południa jest krótsza, to zaledwie cztery, pięć godzin marszu, ale przedtem musisz przedostać się przez kopalnię. Trzeba na to dwóch dni z noclegiem. To największa i najwyżej położona kopalnia złota na świecie. (Należy do McMoran Company z Luizjany w USA.) Wydobywa się tam również miedź, srebro i ropę naftową. Kopalnia ma własne lotnisko i linie lotnicze, własny port morski do wywozu rudy, własne miasto (Tembagapura), gdzie samochody jeżdżą bez rejestracji, tylko z numerami bocznymi, a w supermarketach i gdzie indziej płaci się czymś w rodzaju kart pracowniczych. O niewyobrażalnych zyskach kopalni już wspominałem. A więc bez specjalnego zezwolenia nie można się tamtędy przedostać, a otrzymać je – niezwykle trudno.

– Jak długo się o nie starałeś?

– Najpierw, w dziewięćdziesiątym piątym roku, dostałem pozwolenie na wejście od północy, a więc przez dżunglę. Załatwianie trwało sześć miesięcy, trzeba było uzyskać zgody wielu ministerstw. Dosłownie na kilka dni przed odlotem przyszła wiadomość z Dżakarty, że Irian Jaya jest znowu zamknięta, ponieważ Papuasi porwali członków międzynarodowej ekspedycji naukowej i uprowadzili ich na wschód, w kierunku państwa Papua-Nowa Gwinea. (Po kilku miesiącach wojska indonezyjskie odbiły porwanych, ale pięciu lub sześciu zginęło.) Znalazł się więc dobry pretekst i znów zamknięto region.

Otwarto go dopiero w tym roku. Dostałem wiadomość z Indonezji, że poprzednie pozwolenie jest już nieważne, ale istnieje możliwość przejścia przez kopalnię i że można to załatwić przez wojskowe oddziały specjalne. Nie czekając na rozwój sytuacji skontaktowałem się z moim kolegą Kubą Jakubczykiem z Gdańska i pod koniec kwietnia polecieliśmy do Indonezji. W Dżakarcie okazało się, że jeszcze nie mamy pozwoleń i musimy trochę zaczekać. Zorganizowano nam bardzo ładnie pobyt, zaproszono na sąsiednie wyspy. Wymyśliłem, żeby przy okazji wejść na najwyższy szczyt Jawy. No i zrobiliśmy kilkudniowy trekking z wejściem na górę Semeru; to jest czynny wulkan.

– Szedłeś przez dżunglę. Czy to jest rzeczywiście tak jak w filmach –

Spotkanie z plemionami zamieszkującymi dolinę rzeki Baliem czasem kończy się tragicznie dla białych przybyszów
Fot. z prawej: Papuasi nie mają problemów z ubraniem...

trzeba torować sobie drogę maczetą, bo ścieżki szybko zarastają?

– Tak, bardzo szybko. Kiedy wracaliśmy po trzech dniach, tam, gdzie wykarczowaliśmy drogę, już były duże odrosty.

– Jak chroniłeś się przed owadami i przed tropikalnymi chorobami?

– Byłem w dżungli wysokogórskiej, tam komarów nie ma i żadne robactwo specjalnie nie dokucza. A jeżeli chodzi o choroby, to jedynym zagrożeniem w krajach tropikalnych jest malaria i w niektórych częściach świata – żółta febra. Na żółtą febrę trzeba się szczepić. Jednorazowa szczepionka starcza na dziesięć lat. Na malarię można jeść tabletki – jedną w tygodniu. Zapobiegają, ale nie dają stuprocentowej gwarancji, natomiast są tak toksyczne, że niszczą wątrobę, więc Europejczycy, którzy stale mieszkają w tropikach, nie biorą żadnych leków. Dopiero gdy chorują.

Trzeba uważać, wiadomo – nie pić nigdzie surowej wody, owoce jeść tylko te, które mają zamknięte skórki – banany, pomarańcze...

– Zabrałeś z Polski zapasy żywności?

– Trochę. Zakupy robiliśmy na miejscu, w Dżakarcie. W krajach tropikalnych nie ma problemu z kupieniem żywności, nawet możesz dostać taniej, więc wożenie z Polski jedzenia nie ma sensu – ciężkie, a linie lotnicze każą sobie płacić za nadbagaż. Owszem, coś trzeba wziąć, ale tylko rzeczy lekkie i bardzo energetyczne, jak makarony, zupy, liofilizaty.

– Kiedy wróciliście z Semeru, czekało już na Was pozwolenie?

– Przepłynęliśmy na wyspę Bali i tam dostaliśmy informację, że wszystko jest O.K. Samolotem rejsowym polecieliśmy na Celebes, żeby się przesiąść na samolot do Irian Jaya. Na Celebes czekaliśmy około dwudziestu godzin na przesiadkę i w tym czasie odebraliśmy faks z Dżakarty, że Irian Jaya znowu zamknięto, bo Papuasi porwali dwóch Anglików.

– Można się zniechęcić.

– Kuba zrezygnował, wrócił następnego dnia do Polski. A ja stwierdziłem, że skoro już tu jestem...

Poleciałem do Timiki na południu Irian Jaya. To zamknięte miasto, zbudowane na potrzeby kopalni, stamtąd wiedzie do niej droga. Udało mi się dostać do dyrekcji kopalni. Powiedzieli, że bez pozwolenia z Dżakarty nie ma mowy o przejściu przez ten teren. Postanowiłem spróbować innego sposobu. Menedżer należącego do kopalni hotelu „Sheraton" załatwił mi przejście przez kopalnię. Tylko że nie załatwił mi pozwolenia na wyjście. Żeby pilnujący żołnierze wypuścili mnie, wystarczyłby telefon od jakiegoś tam ich kapitana z dołu, a kapitan za wypuszczenie z kopalni mnie i przewodnika (bo musiałem mieć przewodnika) zażądał łapówki około dziesięciu tysięcy dolarów! Na warunki indonezyjskie to jest zupełnie kosmiczna suma, ponieważ za dwa tysiące dolarów możesz sobie dom na wyspie zbudować. Azja słynie z biurokracji i przebić się przez ten system można tylko za pomocą łapówek.

Jeszcze dość długo próbowałem załatwić pozwolenie, dotarłem nawet do szefa regionu Irian Jaya w Jayapurze, ale w końcu – odpuściłem, bo przecież nie będę dawał takich pieniędzy...

– Mimo wszystko zostałeś w Indonezji?

– Tak. Wykorzystałem ten czas na spenetrowanie interioru Irian Jaya. Poleciałem do Vameny, malutkiego miasteczka w centrum regionu – dwa tysiące mieszkańców, z czego większość to misjonarze. Na pobyt tam też trzeba mieć pozwolenie, ale jakoś obszedłem bokiem kontrole. Z Vameny zrobiłem trekking kilkudniowy w dolinę rzeki Baliem i dotarłem do wiosek papuaskich, gdzie mieszkańcy – głównie plemiona Dani – żyją w epoce kamiennej. Chodzą nadzy (jedynym ubiorem mężczyzn są koteki – nasadki na penisa) i nadal uprawiają kanibalizm. Misjonarze, którzy zresztą przyszli tam dopiero w latach sześćdziesiątych, robią dobrą robotę, ale kanibalizm nie zniknął całkowicie. Pewien misjonarz opowiadał mi, że jego przyjaciel pracował na misji chyba dwadzieścia lat. Był bardzo szanowany przez miejscową ludność, uważali go za wcielenie boskie. Trzy lata temu urządzili wielkie święto, zabili misjonarza i zjedli. To u nich oznaka najwyższego szacunku. Porwanych Anglików prawdopodobnie również zjedli. Słyszałem też, że syn Rockefellera zaginął w Irian Jaya. Jest to region niebezpieczny.

– A Ty nie czułeś się zagrożony?

– Oni wprawdzie sporadycznie, ale stykają się z białymi, ponieważ tam są misje – muzułmańskie i protestanckie. (Rzymskokatolickich misjonarzy w Irian Jaya nie ma.) Ja byłem z przewodnikiem, młodym chłopakiem, który wychował się na misji muzułmańskiej. Mówił po angielsku i znał język plemion zamieszkujących dolinę Baliem. Z nim mogłem poczuć się bezpiecznie. Wiedział, jak rozmawiać z tubylcami i co im należy dać. Za garść papierosów otwierali całą wioskę.

Ciekawe było spotkanie z wodzem jednej z wiosek, który sypia ze swoim czterystuletnim przodkiem.

– Słucham?!

– Z mumią. Oni tam czczą założycieli rodów. Kiedy protoplasta umarł, to go spreparowali za pomocą dymu – powiesili w chałupie nad ogniem i po prostu uwędzili. I teraz wódz śpi na swoim posłaniu, a obok spoczywa przodek – czarny, skurczony, w pozycji embrionalnej, oczywiście z nieodłączną koteką.

– Najdelikatniej mówiąc – egzotyczny region...

– O! Bardzo... Na pewno jest to jeden z ostatnich, a może ostatni region na świecie, gdzie ludzie żyją tak głęboko w epoce kamiennej. Niektóre z tych wiosek zostały odkryte niedawno, w latach sześćdziesiątych. Na przykład – ludzie Asmat. Żyją na drzewach. W dżungli, na dole, jest ciemno, bagnisto, teren malaryczny, więc Asmat budują domy na wierzchołkach drzew. Wchodzą po stopniach wyciętych w pniach.

– Dotarłeś do tych ludzi?

– Nie. Trzeba by wynająć specjalny samolot, a to się wiąże z kosztami. Poza tym to ogromnie niebezpieczny region, bo oni bardzo nie lubią przybyszów w ogóle, nie tylko białych. Trzeba mieć broń i być przygotowanym na wszystko.

– Wróćmy do historii zdobywania pozwolenia na Carstensza.

– Kiedy okazało się, że bez astronomicznych łapówek niczego nie załatwię, postanowiłem powoli wracać. Po drodze spędziłem jeszcze dwa tygodnie na ślicznej wyspie Lombok, na wschód od Bali. Mógłbym dłużej zostać, ale mam małe dzieci, zapomniałyby o tatusiu. No więc wróciłem do Polski na początku czerwca i prawie zaraz dostałem wiadomość, że były wybory w Indonezji, panuje takie trochę bezkrólewie i to najlepsza okazja, żeby wejść na Carstensza. Strona indonezyjska wpadła na pomysł, aby załatwić pozwolenie dla grupy komandosów ze specjalnych oddziałów z ochrony byłego prezydenta. Mieli ubezpieczać wejście studentów z klubu alpinistycznego z Dżakarty w sierpniu, na dzień niepodległości Indonezji. A że komandosom brakowało doświadczenia górskiego, zaproponowali wybitnym alpinistom zachodnim, by ich ubezpieczali. I tak udało nam się dostać to niepisane pozwolenie od najwyższych władz wojskowych. Na pewno jesteśmy pierwszymi Polakami, którzy przeszli przez kopalnię w Irian Jaya.

Carstensz to góra trudna technicznie

– Jakie zrobiła na Tobie wrażenie?

– Niewiele widziałem, bo to jest w ogóle kraina wiecznego deszczu i cienia, a ponadto trafiliśmy tam w fatalnej porze – deszczowej. Słońce pokazywało się tylko wcześnie rano, ale nas wieziono przez teren kopalni celowo dopiero trzy godziny później, gdy zaczynało padać i opuszczały się mgły. No, czasami trochę przewiewało; ogromny obszar, góry, hałdy, ciężarówki, koparki. Rudę wstępnie przerabiają, dodają jakiejś oleistej cieczy i rurociągami transportują do portu położonego sto dwadzieścia kilometrów niżej.

Jechaliśmy terenowymi samochodami, część trasy kolejką linową, potem busem kopalnianym. W sumie trwało to dwa dni z noclegiem w Tembagapurze. Od ostatniego punktu kontroli poszliśmy już do bazy pod Piramidą.

DOKOŃCZENIE NA STR. 16

Pogoda nie sprzyjała wspinaczom: podchodzili w gęstej mgle

W drodze po Koronę...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 15

– Kto wchodził w skład grupy?

– Pięciu indonezyjskich komandosów, troje Austriaków, Niemiec, trzech Łotyszów i dwóch Polaków, czyli Kuba Jakubczyk i ja. Szli też tragarze, którzy donieśli nasz bagaż do bazy i tego samego dnia wracali. A my urządziliśmy bazę, zrobiliśmy kilka trekkingów aklimatyzacyjnych i po paru dniach mogliśmy atakować górę.

– Jakie tam panowały warunki?

– Carstensz to góra trudna technicznie, więc była wspinaczka skalna. Natomiast nie jest tam specjalnie zimno – teren równikowy. Temperatury oscylowały w okolicach plus dziesięciu stopni. No, w nocy spadło chyba do zera; woda w butelce przymarzła na obrzeżach. Było mi zimno, bo złapałem nocleg, a nie miałem śpiwora, tylko płachtę biwakową. Nie chciałem zjeżdżać – śnieg, mgła, ciemno; uznałem, że to zbyt niebezpieczne.

– Jak zazwyczaj przygotowujesz się na takie warunki, jeżeli chodzi o wyposażenie i ubranie?

– Standard: bardzo ciepły śpiwór, puchowy, buty trekkingowe „oddychające", kurtka i spodnie goretex, kurtka polarowa, bielizna antypotna.

– Bez tego nie da się wejść?

– Da się... Akurat na Carstensza można wejść nawet w najtańszej kurtce, byle była nieprzemakalna. Inaczej to wygląda w górach naprawdę zimnych, lodowcowych. Tam dobry sprzęt nie tylko daje duży komfort, ale często decyduje o życiu.

– Dwunastego lipca stanąłeś na najwyższym szczycie Australii i Oceanii. Kto wszedł z Tobą?

– Austriak, Niemiec, Łotysz i czterej komandosi. Następna grupa, w tym Kuba Jakubczyk, weszła dwa dni później. Była trochę lepsza pogoda. My wspinaliśmy się we mgle, nic nie widziałem ze szczytu.

– Korona Ziemi jest celem czy pretekstem?

– Jednym i drugim. Będąc na McKinley'u pomyślałem, że warto by było wejść na wszystkie najwyższe szczyty siedmiu kontynentów. Jak już zacząłem, to chcę kontynuować, ale nie jest to cel ponad wszystko. Raczej traktuję go w kategoriach przygody, podróży, także odpoczynku od życia w mieście. Z nikim się nie ścigam. Jak nie pojadę na Antarktydę, bo nie będę miał pieniędzy, no to nie pojadę. Jeżeli natomiast znajdę sponsora – to czemu nie. A na deser może uda mi się wejść w skład jakiejś wyprawy na Everest.

Jerzy Kostrzewa na szczycie Piramidy Carstensza

– Co w dotychczasowych podróżach było dla Ciebie najtrudniejsze?

– Bariera biurokratyczna w załatwianiu pozwoleń wejściowych na Irian Jaya. Ta niepewność, czy znów nie okaże się, że zamknęli, że ktoś będzie chciał łapówkę. To, że do końca nic nie było wiadomo – wszystko możliwe i wszystko niemożliwe.

– Wśród tysięcy spotkań z ludźmi – które szczególnie pamiętasz?

– Na pewno spotkanie w Ladahu z wędrującymi mnichami tybetańskimi. Trafiłem tam w osiemdziesiątym trzecim roku jako jeden z pierwszych Polaków; Ladah długo stanowił terytorium zamknięte. Może po części z tego powodu spotkanie z mnichami wspominam jako coś niezwykłego. Nasze kontakty były bardziej przekazywaniem myśli niż słów, bo ja słabo znałem wtedy angielski, ale rozumieliśmy się bardzo dobrze nie mówiąc zbyt wiele. To było niesamowite.

– W jakiej części świata nie byłeś?

– W Japonii. (A chciałbym ten kraj odwiedzić.) Na Filipinach, w samej Australii i na Antarktydzie. Poza tym byłem na każdym kontynencie.

– Czy są miejsca na Ziemi, w których nie chciałbyś się znaleźć?

– Rosja. Byłem tam wchodząc na Elbrus. Smutny kraj. Tam się czuje jakąś złą energię.

– Czym się zajmujesz na co dzień?

– Przygotowuję wyjazd na Antarktydę, szukam sponsorów. Przymierzam się do napisania książki o wyprawie na Irian Jaya.

– A zawodowo, „chlebowo"?

– Do ubiegłego roku zajmowałem się moją firmą turystyczną – prowadziłem jako przewodnik grupy trekkingowe na Kilimandżaro. Ale nie przynosiło to dużych dochodów, a wymagało zaangażowania czasowego i nie mogłem realizować własnych planów. Dlatego teraz prowadzę firmę usług wysokościowych.

– Od Twojego kolegi szkolnego wiem, że już w technikum miałeś ciągoty podróżniczo-przygodowe. Na przykład konwojowałeś byki do granicy...

– W ten sposób zarabiałem. Fajnie było. Lata praktyki i szkolenia sprawiły, że potrafiłem przewrócić półtonowego byka na ziemię.

Zbierałem też nasiona z drzew wysokich. Wspinałem się w specjalnych rakach na mniej więcej trzydziestometrowe drzewo i zrywałem szyszki (zimą, bo zamknięte, nasiona nie wypadają). To była w latach siedemdziesiątych bardzo dobrze płatna praca (w ciągu miesiąca zarabiało się pięciokrotnie więcej niż wynosiła pensja nauczycielska), ale i bardzo niebezpieczna. Zdarzały się wypadki śmiertelne.

W ogóle robiłem różne rzeczy – grałem na gitarze i śpiewałem w zespole, układałem piosenki, prowadziłem szkółki narciarskie (jestem instruktorem), pracowałem dla pogotowia górskiego w Kanadzie.

Po technikum nie dostałem się na AWF. Bawiłem na kilku uczelniach, nawet w Monachium, studiowałem, ale żadnej nie skończyłem. Zawsze wiedziałem, że przede wszystkim chcę podróżować.

– Wyznaczasz sobie jakiś następny „pretekst" po Koronie Ziemi?

– Tak. Chce mi się żeglarstwa, takiej spokojnej turystyki pływającej. Na przykład rzekami Europy do Marsylii i z powrotem. A potem – może gdzieś dalej... Pomysłów nie zabraknie.

Wciąż jestem jakby jedną nogą poza Polską. Cały czas tęsknię za Kanadą albo za zachodnim wybrzeżem Ameryki. Jest takie przekleństwo indiańskie: jeżeli zobaczysz tamtą krainę, a wyjedziesz, to zawsze będziesz chciał wrócić. No i chcę. Przymierzałem się nawet, żeby tam zamieszkać. Może kiedyś...

– Jeżeli tak jest zapisane w Twoim podróżniczym losie...

Rozmawiała Maria Wiatrowska
Zdjęcia Jerzy Kostrzewa

PRZEGLĄD PODRÓŻNICZY

- **Marek Kamiński**, zdobywca obu biegunów, szczęśliwie ukończył swoją wyprawę przez australijską Pustynię Gibsona. Kamiński wraz z czwórką holenderskich podróżników wyruszył w liczący 800 kilometrów marsz 24 czerwca. Po 46 dniach morderczego wysiłku i wycofaniu się dwójki uczestników, ekspedycja dotarła 9 sierpnia do aborygeńskiej osady Kintore. Było to pierwsze pełne przejście Pustyni Gibsona przez białych ludzi tzw. szlakiem Aborygenów. Podróżnicy ciągnęli ze sobą ważące około stu kilogramów wózki z żywnością i ekwipunkiem. Wszystkim we znaki dawała się bardzo ostra trawa, która przecinała nawet ubrania. Męcząca była również tak typowa dla pustyń różnica temperatur – przed świtem minus pięć stopni, a w południe plus trzydzieści sześć.
  Po powrocie do kraju Marek Kamiński powiedział, że przejście pustyni marzyło mu się od dawna, ale nie traktuje tego wyczynu jako czegoś szczególnego. Zapowiedział również dość tajemniczo, że ciągle czeka na swoją prawdziwie odkrywczą wyprawę.

- **Aleksander Doba**, mieszkaniec Polic, ukończył samotny rejs kajakiem dookoła Morza Bałtyckiego. Wyruszył z Polic 21 czerwca, wrócił – pokonawszy 4000 kilometrów – dokładnie w osiemdziesiątą dobę od wypłynięcia i zarazem w swoje pięćdziesiąte trzecie urodziny. Kajak „Gwiazda Morza Północnego" zawijał do portów Danii, Łotwy, Szwecji i Finlandii. (Z powodu braku potrzebnych dokumentów prawa zejścia na brzeg odmówili kajakarzowi tylko Rosjanie.)
  Aleksander Doba ma na swoim koncie 35 tysięcy kilometrów szlaków wodnych. Latał też szybowcem i skakał ze spadochronem. Jest pierwszym Polakiem, który samotnie opłynął kajakiem Bałtyk.

- **Pięciu studentów** ze Szczecina udowodniło, że ciekawą wyprawę można zorganizować również w Polsce. Wspólnymi siłami z sześciu starych słupów telefonicznych i dziesięciu dwustulitrowych beczek zbudowali półtoratonową tratwę „Dobra" i w ciągu dziesięciu sierpniowych dni spłynęli Odrą z Nowej Soli do Szczecina. Jak na prawdziwy statek przystało, „Dobra" na swoim pięcioipółmetrowym maszcie miała bocianie gniazdo, a do dachu nadbudówki przymocowany dzwon okrętowy.

RB

Skarb w dworskim ogrodzie

Kilka kilometrów na południowy wschód od nadbiebrzańskiego Dolistowa, na obrzeżu małej wsi Mikicin stoi opuszczony dwór. Straszy pustymi oczodołami okien, krwisto-rdzawymi zaciekami na ścianach, zżeranym przez grzyb tynkiem, a w wietrzne wieczory – łoskotem drzwi bez klamek i zamków. Minie zapewnie jeszcze kilka lat i z zabytkowej budowli, pozbawionej jakiejkolwiek opieki, pozostanie tylko malownicza ruina. A jeszcze nie tak dawno tętniło tu życie, zmieniali się gospodarze, przyjeżdżali goście i miały miejsce niecodzienne wydarzenia.

Pierwszy dwór w Mikicinie zbudował sędzia ziemski łomżyński Jan Sławski, któremu w 1493 roku wielki książę litewski Aleksander, przyszły król Polski, nadał włości leżące nad rzeką Biełbą, blisko jej ujścia do Biebrzy. Niestety, nie wiemy, jak prezentowała się ówczesna siedziba dworska ani też jak zmieniał się jej wygląd w miarę przechodzenia w ręce coraz to nowych właścicieli. A była ich niemała plejada.

Istniejący do dzisiaj budynek dworski wzniósł w 1847 roku Kazimierz Moniuszko. W otoczeniu dość dowolnie skomponowanego na trzech tarasach parku stanął klasyczny dwór z owalnym podjazdem, do którego drogi dojazdowej prowadziła krótka aleja. Na tym samym poziomie, na południowy wschód od siedziby dworskiej powstały również nowe zabudowania. O ile murowany dwór wyglądał okazale, to budynki gospodarcze prezentowały się marnie – zbudowano je bowiem z chrustu i gliny, jedynie spichlerz wzniesiono z bali. Drewniane były także czworaki postawione po drugiej stronie drogi dojazdowej. Środkowy taras przeznaczono na sady, najniższy zaś zamieniono na łąki obsadzone ozdobnymi krzewami oraz kępami typowych dla tej okolicy krzaków i drzew.

W 1897 roku umarł syn Kazimierza, Adolf Moniuszko, i wówczas mikicińskie włości zostały podzielone między jego żonę Marię, siostrę Ewelinę Zawadzką oraz dalszych kuzynów – braci Bolesława, Jana, Leona, Stanisława i Stefana Kozłowskich. Po śmierci w 1902 roku Marii Moniuszko resztówkę po niej odziedziczył jej brat, Jan Czeczot, i sprzedał ją w 1905 roku braciom Kozłowskim, którzy już wcześniej, w 1900 roku, odkupili od Eweliny Zawadzkiej pozostałą część majątku, stając się tym samym właścicielami całego Mikicina. Po pierwszej wojnie światowej Kozłowscy podzielili mikicińskie dobra na trzy części. Tę część, w której znajdował się dwór, użytkowali wspólnie Jan i Stefan. Prawdziwym dziedzicem był Jan, bowiem Stefan, z zawodu lekarz, mieszkał stale w Warszawie i w Mikicinie pojawiał się tylko od czasu do czasu. Jan gospodarzył samodzielnie. Miał oczywiście do pomocy służbę, ale na co dzień brakowało mu wsparcia rodziny. Majątek był zadłużony, więc trzeba było podejmować różne inicjatywy zmierzające do poprawy jego rentowności. Wśród zabudowań gospodarczych wyrosła zatem mleczarnia, zaczął pracować młyn, służące tylko ozdobie drzewa w parku musiały ustąpić miejsca śliwom, jabłoniom i gruszom, za drogą dojazdową wykopano staw z przeznaczeniem na hodowlę ryb. Trawniki i kwietniki, w tym starannie utrzymany gazon na podjeździe, znajdowały się tylko przy samym dworze. Część ozdobna ogrodów odgrodzona była od reszty szpalerem gęstych bzów. W sadzie, między rzędami owocowych drzew, uprawiano warzywa.

Gdy pewnego razu przygotowywano tam grządki pod sadzonki, szpadel jednego z robotników zazgrzytał na jakimś twardym, dużym przedmiocie. Nadzorujący roboty gumienny, niejaki Siemion, natychmiast zarządził przerwę na obiad. Gdy wszyscy fornale oddalili się na posiłek, on sam złapał za łopatę i wydobył z ziemi metalową skrzynkę. Kiedy uporał się z jej wiekiem, okazało się, że wypełniona była po brzegi złotymi „pięciukami". Nie wiadomo, jak długo leżał skarb pod ziemią i kto go zakopał. Prawdopodobnie któryś z poprzednich właścicieli Mikicina. Siemion usiłował, oczywiście, przywłaszczyć sobie znalezisko. Nie udało mu się jednak i dziedzic odzyskał metalową skrzynkę, tyle że uszczuploną o dwie czy trzy garście złotych monet. Ukrył ją ponownie, ponoć w którejś z dworskich piwnic. I chociaż stał się nagle człowiekim bogatym, nadal żył bardzo skromnie: odżywiał się tylko kaszą z mlekiem i chlebem z masłem, pilnował, aby zimą nie spalać w jednym piecu więcej niż pięć kilogramów drewna, nie hodował koni, a do orki kazał zaprzęgać woły.

Dwór tętnił życiem tylko latem, gdy przyjeżdżały siostry Jana Kozłowskiego: pani Mirajska z dziećmi i samotna „Ryża Pani". Mieszkały zwykle w pokojach na górze, które starannie przygotowywano na długo przed ich przybyciem.

Pewnego wiosennego wieczoru, kiedy przy blasku świecy Edmund Mikita, zaufany pracownik dziedzica, kończył malowanie jednego z pokojów facjaty, weszła do niego nieznajoma dama. Ubrana była w długą, czarną suknię, krucze włosy upięte miała w wysoki kok zwieńczony złotym grzebieniem. Na jej lewym ramieniu siedział duży, czarny kot, którego oczy fosforyzowały zielonkawym światłem. Mikita pomyślał, że to pani Mirajska, której dotąd nigdy nie widział, przyjechała już na wakacje i przyszła zobaczyć, jak przebiega remont przygotowywanego dla niej pomieszczenia. Ukłonił się więc grzecznie i dalej malował ścianę. Wkrótce usłyszał kroki wchodzącego po schodach pomocnika, którego wcześniej wysłał po farbę, a po chwili jego przeraźliwy krzyk i łoskot spadającego w dół ciała. Mikita susami wypadł z pokoju, ale na schodach nie było już nikogo, tylko z dołu dobiegały ciche jęki. Leżał tam jego pomocnik z twarzą przeoraną trzema krwawiącymi szramami. Młody chłopak trząsł się i nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Wreszcie ochłonął nieco i zaczął opowiadać, spoglądając ciągle ze strachem w górę. Otóż, kiedy znalazł się w połowie schodów, zobaczył leżącą na stopniu złotą monetę. Schylał się, by ją podnieść, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok. Wyprostował się i ujrzał stojącą na piętrze czarną damę. I w tym momencie z jej ramienia skoczył mu prosto w twarz olbrzymi kocur. Moneta, której dotykał już palcami, zniknęła.

Mikita, a tym bardziej jego pomocnik, nie chcieli już tego wieczora kończyć malowania pokoju. Została tam jednak paląca się świeca, z którą trzeba było coś zrobić. Pobiegli więc obaj do dziedzica i opowiedzieli mu o zdarzeniu. Ten wysłuchał ich spokojnie, a potem rzekł: „Czarna dama, mówicie. No dobrze, dobrze... Idźcie już do domu. Świecę sam zgaszę." I bez najmniejszej obawy wszedł po schodach na górę.

Opuszczony dwór w Mikicinie **fot.** Katarzyna Samusik

Własnością Kozłowskich majątek pozostawał do 1940 roku. Potem nastali Sowieci i przekształcili go w kołchoz „Swobodnyj Trud". Podczas okupacji niemieckiej we dworze zadomowiło się gestapo. Jan Kozłowski schronił się w domu jednej z mieszkanek Mikicina. Osamotniony, z bólem serca patrzył na dewastację majątku. Kiedy umarł, nie było komu go pochować. Młodzi mężczyźni nie mogli pokazywać się publicznie, gdyż Niemcy urządzali akurat wtedy łapanki. Na domiar złego najbliższy cmentarz znajdował się w odległości kilku kilometrów, a wszystkie konie w okolicy zostały zarekwirowane, trudno też było o furmankę. Wreszcie znalazło się czterech starszych wiekiem mężczyzn, którzy z nieheblowanych desek zbili trumnę i na jakiejś furmance pociągnęli ją własnymi siłami do Dolistowa. Tam, na miejscowym cmentarzu, bez nabożeństwa, bez udziału księdza, sami urządzili pogrzeb. Dzisiaj nietrudno odnaleźć grób Jana Kozłowskiego. Rośnie bowiem nad nim sosna splatająca swoje gałęzie w naturalny wieniec, jakby wynagradzając dziedzicowi skromniutki pogrzeb, podczas którego nie było nikogo, kto położyłby na grobie choćby kilka polnych kwiatów.

Zaraz po wojnie, w 1945 roku, powstało na 250 hektarach majątku Kozłowskich Państwowe Gospodarstwo Rolne. W 1958 roku wyremontowano dwór i przeznaczono go na pomieszczenia biurowe i mieszkania dla pracowników PGR. Taras środkowy i dolny zajęły łąki i pastwiska, na górnym zaś, obok resztek drzew i krzewów ozdobnych, wyrosły

DOKOŃCZENIE NA STR. 19

Czas na normalność

Co jakiś czas prasę codzienną i telewizyjne dzienniki obiegają sensacyjne wieści o odkryciu przez policję kolejnego prywatnego arsenału, w którym zabezpieczono broń palną, amunicję, materiały wybuchowe itp.

Problem kolekcjonerstwa broni jest ciągle aktualny, mimo że obowiązuje nowa ustawa o broni i amunicji.

LEKCJA HISTORII

Idąc trochę „na skróty" można by postawić pytanie: co by było, gdyby Milicja Obywatelska „zabezpieczyła" kolekcje militariów Bruna Konczakowskiego w Cieszynie przed jego śmiercią, w 1959 roku? (Obowiązywało jeszcze wówczas przedwojenne prawo o posiadaniu broni.) Odpowiedź jawi się sama: na Wawelu byłyby puste, pozbawione oręża komnaty królewskie. Zapewne niewielu zwiedzających Zamek Królewski zdaje sobie sprawę, że zdecydowana większość tego, co dziś można tam z uzbrojenia obejrzeć, zawdzięcza ojczyzna (tak! ojczyzna) temu wybitnemu kolekcjonerowi i... rozsądkowi władzy. Konczakowskiemu, zresztą, sprzyjało wielkie szczęście: nie tylko ochronił swoje zbiory przed hitlerowcami, ale w 1945 r. zdołał nakłonić oficerów radzieckich, aby przed jego domem w rynku wystawili wartę i chronili kolekcję przed szabrem.

W ciągu kilku ostatnich wieków przetaczające się przez polskie terytorium wojny ograbiły naród z pamiątek przeszłości w sposób drastyczny. Najeźdźcy wszelkiej maści nie mieli żadnych skrupułów i rabowali to, co się tylko dało, ze zbiorów publicznych i kolekcji prywatnych. Najbardziej jaskrawym przykładem jest zburzenie przez hitlerowców Muzeum Śląskiego w Katowicach. Inny przykład dotknął najwybitniejszego malarza marynistę, jeszcze przed wojną zamieszkałego w Gdańsku, Mariana Mokwę. Niemcy od razu skonfiskowali mu wszelkie obrazy pod zarzutem, iż są „gloryfikacją Polski". Więc i kolor wody bałtyckiej mógł być okazją... Widywałem także przedwojenne reprodukcje „Cudu nad Wisłą" Jerzego Kossaka pokłute radzieckimi bagnetami.

Mniej szczęścia niż Konczakowski miał bydgoszczanin, emerytowany kapitan Andrzej Kulwieć, notabene współtwórca pierwszego bydgoskiego muzeum wojskowego. Gdy zawalił się świat, 1 września 1939 r., kapitan Kulwieć zabrał z muzeum swoje depozyty, pragnąc ocalić je przed zagładą. Na wezwanie władz okupacyjnych Bydgoszczy, w dniu 5 września sporządził inwentarz posiadanej broni, w którym umieścił:

1) 1 karabin austriacki z bagnetem z roku 1866,
2) 1 bagnet turecki krótki z XIX w.,
3) 1 toporek turecki z XVIII w.,
4) 3 pistolety wschodnie z XVIII w.,
5) 1 kordelas myśliwski z XIX w.,
6) 6 bagnetów austriackich i niemieckich z wojny światowej,
7) 2 bagnety legionowe z 1914 r.,
8) 1 bagnet „grecki" z 1914 r.,
9) 1 bagnet francuski z 1914 r.,
10) 2 bagnety rosyjskie z XIX w.,
11) 2 szable rosyjskie z XIX w.,
12) 1 szabla legionowa z 1914 r.,
13) 5 szabel austriackich z XIX w.,
14) 1 szabla polska – wykopalisko z XVIII w.,
15) 1 ułamek szpady rosyjskiej z XIX w.

Kpt. Kulwieć zdecydował się ujawnić posiadanie tej części zbioru, o której sądził, iż okupant nie wykaże większego zainteresowania. Ogromnie się pomylił. Przepadło wszystko, łącznie ponad 50 egzemplarzy bardzo wartościowej broni.

KOLEKCJONERSTWO BRONI

Jest tak stare jak świat. To truizm, lecz „najprawdziwsza" prawda. Broń zawsze była w cenie przez swoją wartość praktyczną. Służyła nie tylko do obrony, ale także do zdobywania pożywienia. Wreszcie jej posiadanie było narzędziem polityki – tej wielkiej i tej na mniejszą skalę, prywatną. Ów praktyczny charakter broni powodował, że od dawien dawna przeszukiwano wszelkie pola bitew, by ją zdobyć. Jedno z największych pobojowisk średniowiecznej Europy to Grunwald. Dotąd archeolodzy – mimo usilnych poszukiwań – znaleźli tam tylko jeden miecz. Zajrzyjmy do sienkiewiczowskiego opisu: *Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.* Wprawdzie to opis literacki, ale fakt znany z wielu innych miejsc. Wszystko, co zostało po bitwie, stanowiło cenny łup wojenny, zapłatę za trud rycerza i przez jego służbę było skrzętnie zbierane z pola. Nawet kawałek blachy ze zbroi rycerskiej miał wartość. Ponownie można było użyć żelaznego grotu lub oszczepu, a ułamek miecza, oprawiony w drewno, zastępował nóż.

Rzecz jasna, że spośród zdobycznej broni ta inkrustowana kruszcem i wysadzana szlachetnymi kamieniami stanowiła przedmiot szczególnej dumy i satysfakcji zdobywcy. Eksponowano ją na poczesnym miejscu w domostwie, a noszono przy szczególnie uroczystych okazjach. Z czasem wykształciła się specjalna kategoria broni ozdobnej, o wybitnych wartościach artystycznych i estetycznych, jak np. w polskiej tradycji – karabela.

Ogromną wartość przypisywano broni ceremonialnej. Doskonałym jej przykładem jest tzw. Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich. Symboliczne znaczenie miała noworoczna przysięga na łowickim rynku w 1807 r., złożona przez gen. Jana Henryka Dąbrowskiego na chocimską szablę króla Jana III Sobieskiego z 1673 r., zwaną także szablą loretańską. To tylko przykłady nadawania znaczeń symbolicznych okazom uzbrojenia o ogólnonarodowym wymiarze. Ale przecież takich okazów była zaledwie garstka. Natomiast także prawdą jest, iż w burzliwych dziejach Polski nigdy nie brakło broni, której nadawano symboliczne znaczenie w wymiarze rodowym, rodzinnym lub zgoła jednostkowym. Dowodzą tego liczne – trawione lub grawerowane – dewizy i sentencje.

W XVIII i XIX w. zaczęto zbierać broń nie tylko dla jej symboliki, a dla samej broni, dla jej piękna. Przez to stawała się nie tylko jeszcze piękniejsza, lecz i jeszcze droższa! Drogą bronią szczycili się magnaci i nowobogaccy, którym dodawała splendoru. A cóż mieli czynić ci jej miłośnicy, których nie stać było na kunsztownie zdobione arcydzieła szabelników i rusznikarzy? Marzyli o cymeliach i zbierali, co się dało. Wielkie kolekcjonerstwo wymagało zawsze, niezależnie od przedmiotu kolekcji, trzech cech: po pierwsze pasji, po drugie pasji, po trzecie wielkiej pasji. I cuda się zdarzały.

Przed kilkoma laty w domu aukcyjnym Christie's w Londynie został sprzedany 7,92 mm karabin Mauser wz. 1896 za niebotyczną cenę 172 700 DM (!). Nie byłoby w nim nic niezwykłego, gdyby nie wygrawerowany napis: *Noś mnie z honorem. Strzelał ze mnie Cesarz Wilhelm II, 30 strzałów z 300 m. 20 VIII 1896 a.d. Strzelnica wojskowa Katherinenhols Poczdam.* Nie sądzę, by ten karabin kupiło wojsko. Nie sądzę także, że został w „polski" (wstyd) sposób zeszpecony przewierceniem lufy, komory zamkowej, zaspawaniem iglicy itd. A tego żąda od tzw. broni muzealnej

Bruno Konczakowski

POLSKIE PRAWO

Ustawa z 1961 r., o broni, amunicji i materiałach wybuchowych dotyczyła broni palnej krótkiej, myśliwskiej i sportowej. Na jej posiadanie konieczne było zezwolenie. Oznaczało to, że na inną broń, np. wojskową, w zasadzie zezwolenia otrzymać nie można było. Pojęcie „broń" rozciągnięte zostało także na istniejące jej części, tzn. szkielet, lufę, zamek i komorę zamkową. Bez zezwolenia można było posiadać broń palną wyprodukowaną przed 1850 r. Dla kolekcjonera jasne jest, że owa cezura, sztucznie zresztą wyznaczona, oznaczała czas wprowadzenia na szeroką skalę broni palnej o funkcjonującym jeszcze dziś systemie iglicowym. Tymczasem już wte-

dy, za tamtej ustawy, było wiadomo, że nie gdzie indziej, jak głównie w kolekcjach prywatnych przetrwały curiosa łamiące ustawę: zarówno karabiny iglicowe wyprodukowane przed rokiem 1850, jak i karabiny, a częściej sztucery myśliwskie o systemie kapiszonowym, wyprodukowane grubo później. Co miał czynić kolekcjoner, gdy w praktyce ubieganie się o zezwolenie groziło utratą broni i wyrokiem skazującym? Bronił się sam.

Na wystawie w Muzeum POW widnieje 7,92 mm karabin przeciwpancerny „Ur" wz. 1935, produkcji polskiej, konstrukcji inż. J. Maroszka. Broni tej wyprodukowano niewiele, ok. 3500 egzemplarzy. Polska broń jest szczególną narodową pamiątką również z tej przyczyny, iż było zaledwie kilka oryginalnych konstrukcji. Ten egzemplarz, pochodzący z Borów Tucholskich, ma tylko część metalową. W dodatku obcięto mu hamulec wylotowy znajdujący się u wylotu lufy, a jej końcówkę sklepano. W gospodarstwie rolnym przez długie lata służył jako... łom. W ocenie prawnej tego faktu mamy do czynienia z kilkoma przynajmniej kwestiami. Oto posiadanie broni, a już zwłaszcza wojskowej, było (jest) zabronione. Można przyjąć, że rolnik postąpił w myśl KK „w stanie wyższej konieczności" i ratował „dobro wyższego rzędu", bo ocalił polski karabin. Fizyczne uszkodzenie karabinu, który *de jure* zabytkiem nie jest, choć jest nim bez wątpienia faktycznie, stanowi już zgoła inne zagadnienie. Podobnie zresztą kształtuje się muzealna ocena wartości tego zabytku.

Pojęciem broni w nowej (1999 r.) ustawie zostały objęte także kusze, na których posiadanie wymagane jest zezwolenie. Żywiołowy ostatnio rozwój bractw rycerskich, wypełniających w interesującej formie lukę w wychowaniu młodzieży – w obrębie nie tylko kuszników – stanowi również zagrożenie łamaniem prawa. W aspekcie amunicji, na której posiadanie też jest konieczne zezwolenie, bełt do kuszy to nic innego jak „scalony pocisk bojowy". Więc: jak nie tak, to tak. A i tak nie wolno.

O materiałach wybuchowych lepiej nie wspominajmy. O kolekcjonerach (pseudo) powiadommy... lekarza-psychiatrę.

I wreszcie broń biała. Zakazem posiadania objęta jest tzw. „broń bandycka", nie mająca nic wspólnego z żadnym kolekcjonerstwem. Prawo pozwala nabywać i posiadać broń stanowiącą przedmiot zainteresowania dość licznej grupy kolekcjonerów, np. miecze, szable, bagnety, kordelasy, noże szturmowe czy białą broń drzewcową. Rodzą się jednak liczne wątpliwości w przypadku tzw. broni wschodniej, ze względu na jej specyficzne, oryginalne kształty. Przyznać trzeba, iż broń ta ma znaczną grupę swoich wielbicieli i to zarówno wśród poważnych kolekcjonerów, jak i młodocianych miłośników wschodnich sztuk walki.

Słowem, w polskim prawie – wbrew polskiemu interesowi – kolekcjonerstwo broni nie istnieje.

NOWA USTAWA

z dnia 21 maja 1999 r. (Dz.U. nr 53, poz. 549) która zacznie obowiązywać od maja 2000 r., przewiduje zasadniczą zmianę. Broń będzie miał prawo posiadać każdy, kto skończył 21 lat życia i spełnia jeszcze kilka innych warunków: niekaralność, stałe zameldowanie, zdrowy psychicznie, nie jest alkoholikiem, narkomanem lub obciążonym niedorozwojem umysłowym, co zaświadczy lekarz. Posiadana broń winna być przechowywana w metalowym sejfie itd. Wymagań jest oczywiście więcej. Tu podaliśmy najważniejsze. Kolekcjoner otrze pot z czoła, dumny z siebie, odetchnie z ulgą – może wreszcie zalegalizować swoją (z narażeniem wolności i życia gromadzoną!) kolekcję i w dodatku będzie jeszcze ona chroniona prawem!!!

Czyżby? To się okaże, gdy wejdą w życie przepisy wykonawcze. Wprawdzie Temida zsunęła nieco opaskę z oka i dojrzała zjawisko tzw. „broni kolekcjonerskiej", ale nie mówmy hop. W tym względzie nadal więcej jest uznaniowości lokalnych decydentów niż... państwowego rozsądku. Oto bowiem są już wydawane pozwolenia kolekcjonerskie, jednak cóż z tego, skoro „mordują" – częstokroć – rzadkiej klasy zabytki przez obligatoryjne przewiercenie lufy, mechaniczne przebijanie numerów broni itd. Takie stosowanie prawa doprowadzić musi do bezprawia w imię tego samego prawa („dobro wyższego rzędu"). Jest to o tyle ważne, że wprowadzone do ustawy pojęcie „broń bojowa" może być rozciągane przez nadgorliwych urzędników, dajmy na to, na działo księcia Witolda, gdy je odnajdzie Jerzy Antkowiak. To żart, ale w praktyce bronią bojową może się okazać każda armata, nawet wiwatówka.

Zezwolenia kolekcjonerskie nie mogą w żadnym wypadku ograniczać się do zakazu wynoszenia i prezentacji zbioru poza miejsce zamieszkania. To śmierć kolekcjonera albo... nowe bezprawie. Ochrona prawna kolekcji jest, niestety, tylko złym snem wizjonera. W praktyce to kolekcjoner jest odpowiedzialny prawnie za jej utrzymanie pod rygorem kary więzienia lub grzywny. Znów zapytajmy: a gdzie interes państwa, a gdzie troska o pomnożenie dóbr kultury, troska o ich kondycję? Cóż... Zabrakło wyobraźni. Choć z satysfakcją uczciwie wskazać trzeba, że pojawił się nowy, ciekawy wątek. Otóż można wreszcie legalnie sprowadzić ciekawy okaz broni na uzupełnienie kolekcji – zza granicy. Droga ciernista, ale jest.

I wreszcie konkluzja. Po tylu argumentach i uszczypliwościach czas wyłuszczyć sprawę. Pojawiła się szansa na normalność. Zależy ona nie tylko od urzędników. Teraz winni przemówić kolekcjonerzy, by przepisy wykonawcze do ustawy były po prostu przyjazne. Komu trzeba przemówić?

Wojciech Zawadzki

Autor jest podpułkownikiem Wojska Polskiego, dyrektorem Muzeum Tradycji Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy.

Ocena zbiorów Konczakowskiego. (Cieszyn, 20 lipca 1960 r.) Od lewej: F. Ścibałło, prof. J. Szablowski, prof. Z. Bocheński, dr Z. Żygulski, mgr A. Fischinger.

Skarb w dworskim ogrodzie

DOKOŃCZENIE ZE STR. 17

dzikie zarośla i grządki warzywne nowych mieszkańców.

Kiedy odnowiono budynek dworski, materiałów budowlanych zgromadzonych na dziedzińcu pilnowali na zmianę dozorcy. Jeden z nich zauważył, że punktualnie o godzinie dwunastej w nocy pojawia się siwy starzec ze świecącym fanarem w ręku i zagląda po kolei do wszystkich piwnic. Obecność tajemniczej zjawy o północy potwierdzili inni i odtąd nikt już nie chciał zbliżyć się do dworu późną nocą.

Przed kilkoma laty, po likwidacji PGR-u, budynki gospodarcze i ziemię po nim wydzierżawił na dziesięć lat mieszkaniec Knyszyna. Dwór natomiast stoi pusty i niszczeje. Usiłował go odzyskać jeden z dalszych kuzynów Stefana Kozłowskiego; jak dotąd – bezskutecznie.

Jerzy Samusik

Komu będą biły dzwony?

Południowo-wschodni kraniec Polski, Bieszczady, największa pod względem obszaru gmina w kraju (476 km kw.). Lutowiska, bo o nich mowa, stały się w czerwcu bieżącego roku miejscem specyficznego znaleziska, które wzbudza wiele kontrowersji. Uprzedzam fakty – nie znaleziono Bursztynowej Komnaty ani legendarnych dzieł sztuki, tylko dwa cerkiewne dzwony.

„Iwan" i „Michaił" czekają na swój los w policyjnym magazynie. Na razie nie wiadomo, komu będą dzwonić.

W 1951 roku nastąpiło niewielkie przesunięcie nowej granicy Polski na wschód. Trudno to nazwać rewizją granic; raczej drobną korektą. W rezultacie kraj zyskał kawałek Bieszczad z kilkoma miejscowościami, z których wcześniej niezwykle skrupulatnie usunięto autochtonów. 1200 mieszkańców Lutowisk i okolicznych wsi przesiedlono do odległej o 1500 km wioski Duczany w hersońskiej obłasti. Jednak zanim miejscowi wyruszyli w tę daleką drogę, postanowili ukryć dzwony wiszące na przycerkiewnej dzwonnicy. Pewnie nikt z zakopujących dzwony nie zdawał sobie sprawy, że oddaje je w depozyt ziemi na blisko pół wieku. Nim dzwony z Lutowisk ponownie ujrzały światło dzienne, sprawa ich wydobycia została poruszona na bardzo wysokim szczeblu. W lutym bieżącego roku odbyło się spotkanie pełnomocnika Rządu RP ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą, podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki – Stanisława Żurowskiego z Aleksandrem Fedorukiem – pełnomocnikiem Rządu Ukrainy, przewodniczącym Narodowej Komisji ds. Zwrotu na Ukrainę Dóbr Kultury przy Radzie Ministrów Ukrainy. W trakcie spotkania ustalono m.in., że przekazywanie dóbr kultury stronie ukraińskiej powinno odbywać się na zasadzie wzajemności.

Do Polski po dzwony przyjechał rodowity lutowiczanin Fedir Grycuniak, który wprawdzie nie był świadkiem ich ukrycia, ale dowiedział się o całej sprawie od bezpośredniego uczestnika Józefa Petiacha. Podobno dzwony dla cerkwi ufundował brat babki Fedira Grycuniaka – Michaił Iwaniw, który dorobił się majątku w Kanadzie. Dzwony noszą imiona fundatora: mniejszy, ważący około 150 kg, to „Michaił", a większy – „Iwan".

Za stronę organizacyjną poszukiwań odpowiedzialny był przedstawiciel Wojewody Podkarpackiego Mariusz Olbromski. Eksploracyjną częścią akcji zajęli się pracownicy desygnowani przez Urząd Gminy w Lutowiskach oraz pięciu saperów z kompanii saperów 14 Brygady Pancernej Ziemi Przemyskiej im. Jana Karola Chodkiewicza z Jarosławia. Poszukiwania i wydobycie przebiegały błyskawicznie – we wskazanym miejscu po dwóch fałszywych alarmach saperzy trafili na dzwony. Oba spoczywały na starym cerkwisku, tuż obok siebie, na głębokości około pół metra. Wydobycie „Michaiła" nie nastręczało trudności, ale już do wyciągnięcia ważącego ok. 500 kg „Iwana" potrzebny był ciągnik. Dzwony przetrwały w bardzo dobrym stanie; skorodowały tylko wykonane z żelaza uchwyty do mocowania i serca. Na pokrytych patyną dzwonach zachowały się ornamenty roślinne oraz czytelne napisy w cyrylicy. Na „Michaile" odczytać można datę ufundowania: 1898 rok.

Swoją tymczasową siedzibę wykopane dzwony znalazły na posterunku policji. Dobrze strzeżone pewnie poleżą jeszcze długo, gdyż nikt nie wie, co z tym fantem począć. Mieszkańcy Lutowisk są podzieleni; jedni uważają, że dzwony powinny zostać zwrócone Ukraińcom, inni oponują twierdząc, że skoro dzwony były tu od zawsze, to powinny zostać w Bieszczadach. Wprawdzie nie ma już tamtej cerkwi (została rozebrana w 1980 roku), ale istnieją jeszcze inne, chociażby ta zdemolowana ostatnio przez niedźwiedzia w pobliskim Smolniku. A w ostateczności są jeszcze kościoły... Dysputy trwają, jednak dla lutowiczan są to dysputy czysto akademickie, bowiem nie im sądzić o dalszych losach „Michaiła" i „Iwana" – zapewne wszystkie decyzje tyczące znaleziska zapadną w ministerialnych gabinetach.

Powie ktoś: tyle zamieszania o zwykłe dzwony, ale przecież chodzi o dużo więcej; dzwony mają stać się przyczynkiem do nawiązania poważnej współpracy między obu krajami w celu wymiany naprawdę cennych dzieł sztuki. Jednak tu rodzi się kolejne pytanie – jeżeli dzwony zostaną przekazane „wypędzonym" Ukraińcom, to czy taki sam los nie powinien spotkać przedmiotów ukrywanych przez Niemców na Ziemiach Zachodnich? Odpowiedź na to i inne pytania przyniesie czas oraz ministerialne decyzje. Na razie nie wiadomo, komu będą dzwonić dzwony z Lutowisk.

Tekst i zdjęcie
Radosław Biczak

Ps. Tropiąc sprawę dzwonów dowiedziałem się o innym znalezisku – podczas prac przy budowanym w Lutowiskach stadionie sportowym wykopano dużo macew pochodzących z pobliskiego kirkutu.

Teren stadionu był dawniej należącym do PGR-u pastwiskiem, które notorycznie podmakało, więc pracownicy ściągnęli z żydowskiego cmentarza nagrobki i cisnęli w najgłębsze kałuże... Obecnie, po porozumieniu z gminą żydowską, budowniczowie stadionu odstawili macewy z powrotem na cmentarz. Godne pochwały, bo można było nie zwrócić uwagi...

A tak na marginesie – powstający w Lutowiskach stadion budowany jest w czynie społecznym przez miejscowych. Służyć ma wszystkim, również przyjezdnym. Jak przy większości takich przedsięwzięć brakuje pieniędzy, potrzebni są sponsorzy i darczyńcy. Liczy się nawet symboliczna złotówka. Tym, którzy chcieliby pomóc, podaję numer konta Społecznego Komitetu Budowy Stadionu Sportowego w Lutowiskach:

PKO BP Ustrzyki Dolne
nr 10203004-4213-270-1.

Szlakiem wiatru i sów (3)

Koźlak w Kisielewie (gm. Platerów)

Znajduje się pośrodku wsi, po lewej od szosy Platerów – Mężenin, na posesji M. Czyżyka. Czas budowy określa się na drugą połowę XIX w.

To, co zostało z kisielewskiego wiatraka, znakomicie ilustruje konstrukcję typową dla koźlaka – skośne belki (zastrzały) tworzące z podwalinami kozły. Pionowa belka o wysokości dwóch kondygnacji nazywa się stember (sztymber). Na jej szczycie poziomo ułożona mącznica (belka mączna) utrzymywała część ciężaru całego budynku podczas jego obrotu wokół osi, którą stanowił stember. Jedną kondygnację (przyziemie, podbudynek) zajmowała podstawa młyna. Pomieszczenie to nie mogło być wykorzystane do celów użytkowych nawet jako graciarnia z powodu potrzeby ciągłego obracania młyna na wiatr. Zaczęto więc wznosić wiatraki o innej konstrukcji – holendry i paltraki, ze wszystkimi kondygnacjami wykorzystywanymi do przemiału zboża, produkcji kaszy, odsiewania mąki itd.

Po prawej stronie, w krzakach, leży zniszczony wał śmigowy z kołem palecznym przenoszącym napęd na pionową oś (sochę) złożenia kamieni.

Sławomir Kordaczuk

Fot. autora z 6 listopada 1996 r.

I Piknik Eksploracja Polska Klub

TWIERDZA OSOWIEC '99

W drugim tygodniu sierpnia w twierdzy Osowiec (okolice Białegostoku) odbył się pierwszy piknik nowej organizacji poszukiwaczy skarbów i pamiątek historii. We wrześniu tego roku stowarzyszenie liczyło blisko 50 osób. Na pikniku zjawiło się ich kilkanaście z całej Polski. Oprócz tradycyjnych poszukiwań militariów, zwiedzaliśmy perłę polskiego baroku – Tykocin, „szwedzką drogę", przecinającą Biebrzę w czasach „potopu", okopy z niemieckiego ataku gazowego 1915 roku, kilka fortów Twierdzy Osowiec (są zabytkami – poszukiwania na nich są prawnie zabronione), oddaliśmy hołd dowódcy polskich Spartan, obrońcy Wizny – kapitanowi Raginisowi (obrona Wizny do historii polskiej wojskowości przeszła pod nazwą „polskie Termopile"). Oglądaliśmy istniejące do dzisiaj zabudowania polskich zaścianków szlacheckich, niszczejących, bez opieki konserwatora. Być może – przypadkowo – odkryliśmy stanowiska archeologiczne z epoki kamiennej – skonsultujemy się w tej sprawie z archeologami będącymi również w naszej organizacji. Szukaliśmy śladów dworów. W miejscu jednego rośnie... kapusta! Gdzie w poprzednich latach byli konserwatorzy zabytków? Na fundamentach drugiego stoi dzisiaj wiejski dom. „Oj, panie! Jakie tutaj były mieszkania, a jaki był duży ganek! Wszystko rozebrali pegeerowcy!" – relacjonuje obecny gospodarz. (Podjazd pod dwór jest zaorany. Zostały tylko ruiny obory wybudowanej z wielkich głazów. Głazy były nieporęczne i dlatego ludzie z pegeerów nie wynieśli ich do swoich zagród. Gdyby szlachta wiedziała, jak potoczy się historia, może by budowała dwory z kamieni polnych, a nie z drewna i cegły). Odbyliśmy spływ kajakowy. Dostarczył nam niezapomnianych wrażeń.

WIADOMOŚCI PRAKTYCZNE

Nocleg: Gospodarstwo Agroturystyczne, Zbigniew Grzybowski, 19-115 Osowiec 80, tel. (086) 27 20 568 (3 km od stacji kolejowej w Osowcu, na przełaj, przez zrujnowany most).

Biebrzański Park Narodowy: dyrekcja znajduje się naprzeciwko stacji kolejowej w Osowcu. Tu można wykupić bilety, zorganizować spływ kajakowy i wynająć przewodnika po parku. Niech ktoś nie wpadnie na pomysł prowadzenia poszukiwań w parku; są prawnie zabronione, a straż leśna jest wyposażona w dobre samochody terenowe, sprzęt łączności i bloczki z mandatami.

Osowieckie Towarzystwo Fortyfikacyjne: chor. Mirosław Worona, tel. (085) 716 22 69 w. 292, zorganizuje odpłatne zwiedzanie twierdzy i jej wyjątkowego muzeum. (Można dotykać eksponatów i zagrać na wojskowej sygnałówce; zagrałem!)

Podziękowania dla zastępcy dyrektora BPN mgr. inż. Jana Leszkowicza, chor. Mirosława Worony z Osowieckiego Towarzystwa Fortyfikacyjnego i Zbigniewa Grzybowskiego za pomoc w realizacji programu zlotu.

Organizator pikniku:
EKSPLORACJA POLSKA KLUB, stowarzyszenie, ul. Ryszarda 44, 05-806 Komorów, przewodniczący zarządu – Wojciech Oksieńciuk, tel./fax (022) 758 73 48. Pod tym adresem można otrzymać statut i deklarację członkowską. Wpisowe 10 zł, składka 5 zł za miesiąc.
e-mail: armand@armand.hsn.pl

Podstrona internetowa EPK znajduje się pod adresem: www.armand.hsn.pl

Wojciech Oksieńciuk

OGŁOSZENIA BEZPŁATNE

Drukujemy bezpłatnie ogłoszenia zawierające do trzydziestu słów (nie licząc adresu). Prosimy o czytelne pismo! Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji.

• SPRZEDAM wysokiej klasy wykrywacze metali typu PI o zasięgu w gruncie od 2 do 3 m, z dyskryminacją lub bez. Ceny od 650 zł do 800 zł. Przemysław Zapart, ul. Topolowa 5, 28-300 Jędrzejów, tel. 041 386 31 86.

• WYKRYWACZE metali z rozróżnianiem lub bez. Zasięg 3 metry. Gwarancja. Nowe. Profesjonalne. Tanio sprzedam. Jacek Sekuła, ul. Batorego 58, 38-300 Gorlice, tel. 018 353 11 49.

• POSZUKUJĘ widokówek, medali, książek, exlibrisów, odznaczeń z tematu: Częstochowa, ziemia częstochowska – wydanych do 1945 roku. Posiadam dużo materiału wymiennego – zawsze aktualne. Biernacki, skr. poczt. 636, 42-217 Częstochowa.

Antykwariat „Rara Avis" zaprasza na V Krakowską Aukcję Pocztówek 23 października 1999 r. o godz. 10.00 w Centrum Kultury Żydowskiej, ul. Meiselsa 17.

„Częstochowski Magazyn Numizmatyczny"

W numerze 16(41) kwartalnika wydawanego przez Stowarzyszenie Archeologiczno-Numizmatyczne im. dra Władysława Terleckiego w Częstochowie przeczytacie m.in.:
– Unikalna odbitka w srebrze najpiękniejszego polskiego „numizmata" z 1614 r.
– Sensacja archeologiczno-numizmatyczna XX wieku – wykopaliska w Qumran
– Czesław Bojarski – król francuskich fałszerzy banknotów

Ponadto – o losie polskich monet i banknotów po przystąpieniu Polski do Unii Gospodarczo-Walutowej, o międzywojennych żetonach teatralnych i kinowych, wspomnienie o numizmatyku Tadeuszu Kałkowskim, obszerny „Kalejdoskop wydarzeń", relacja z XX Jubileuszowej Giełdy Akcesoriów Piwnych, informacje o działalności SAN.

Adres Redakcji:
42-200 Częstochowa,
ul. W. Kossaka 26,
tel 034 365 99

Wrzesień 1939 roku na Podkarpaciu

Taki jest temat konferencji naukowej, która odbędzie się w dniach 28 i 29 października br. w Muzeum Okręgowym w Krośnie. Organizatorzy – Podkarpackie Towarzystwo Historyczne i Muzeum Okręgowe w Krośnie – zaplanowali poruszenie wielu zagadnień dotyczących napaści sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 roku. Materiały z konferencji zostaną wydane drukiem w IV tomie „Dziejów Podkarpacia".

Szczegółowe informacje można uzyskać pod adresem:
Muzeum Okręgowe
ul. Piłsudskiego 16
38-400 Krosno
tel. 013 432 13 76 lub 0604 418 082
e-mail: jgancar@karpaty.edu.pl

Klub Miłośników Pocztówki w Krakowie oraz Klub Zainteresowań PZF „Cracovia" organizują Ogólnopolską Giełdę Pocztówek 24 października 1999 r. w godz. 8.00-14.00 w Galerii „Nafta", ul. Lubicz 25. (Kontakt: Jerzy Zieliński, tel. 012 411 39 30.)

Otrzymaliśmy katalogi

ofertowe

- Antykwariatu Naukowego w Krakowie (31-019 Kraków, ul. Floriańska 15, tel./fax 012 422 73 26, tel. 012 429 63 26). 878 pozycji, w tym książki XIX- i XX-wieczne (814 pozycji) oraz czasopisma.
- Antykwariatu Górskiego „Filar" (25-753 Kielce, ul. Alabastrowa 98, tel. 090 397 162, tel./fax 041 345 62 19). 81 pozycji – m.in. geografia, etnografia, historia, architektura, literatura piękna oraz czasopisma, mapy, ikonografia.

aukcyjne

- Antykwariatu Naukowego w Krakowie (31-019 Kraków, ul. Floriańska 15, tel./fax 012 422 73 26, tel. 012 429 63 26). 951 pozycji – stare druki, książki XIX- i XX-wieczne (także w językach niemieckim, francuskim i angielskim), fragment zbioru Zbigniewa Zacharewicza (historyka, który zajmował się przełomem XVIII i XIX w., okresem napoleońskim, Królestwa Polskiego i powstania listopadowego), rękopisy, varia oraz czasopisma. Aukcja odbyła się 18 września.
- Antykwariatu im. J.K. Żupańskiego w Poznaniu (61-770 Poznań, ul. Paderewskiego 3/5, tel./fax 061 852 63 12). 821 pozycji – starodruki, wydawnictwa XIX- i XX-wieczne (także w językach niemieckim, francuskim i łacińskim). „XXV aukcja książek rzadkich i poszukiwanych" odbyła się 24 września.
- Antykwariatu „Rara Avis" (31-024 Kraków, ul. Szpitalna 7/4, I piętro, tel./fax 012 422 03 90). 1381 pozycji w działach: starodruki, polski plakat filmowy 1948-1970, kartografia, druki ulotne, varia, czasopisma, księgoznawstwo i bibliografie, I wojna światowa (ze zbiorów Andrzeja Szczepki), wydawnictwa XIX- i XX-wieczne. Aukcja odbyła się 2 października.

Sprostowanie

W tekście „Gdańskie Bractwo Poszukiwaczy" („Odkrywca" 8/99) znalazł się błąd: kustoszem Muzeum Kryminalistyki jest Jerzy WNOROWSKI, a nie Jerzy Borowski, jak napisaliśmy. Pana Wnorowskiego i Czytelników serdecznie przepraszamy. Przepraszamy również pana Ziemowita Mazura, którego nazwiska nie umieściliśmy w podpisie pod zdjęciem.

Z redakcyjnej skrzynki

PODZIEMIA BĘDZIŃSKIE

Jestem speleologiem, interesują mnie wszystkie tajemnicze miejsca, (...) jaskinie (...) i podziemia. Obiekt, o którym tu piszę, często porównywany jest z lochami pobliskiego zamku. Niestety, mało kto wie, iż owe lochy to podziemia z czasów drugiej wojny światowej, wydrążone przez Niemców, a właściwie ludzi z obozów pracy. Owo wzgórze, w którym mieszczą się podziemia, (...) Niemcy podczas drążenia tuneli nazwali budową. Całe wzgórze i teren przyległy w najbliższym sąsiedztwie były otoczone potężnym murem z siatką maskującą na całej powierzchni (...). Prace na niby (...) powierzchniowej budowie były prowadzone pod ścisłą kontrolą bez jakiegokolwiek rozgłosu (ściśle tajne). Ktokolwiek próbował się tylko zbliżyć do terenu budowy, momentalnie ślad po nim zanikał. Prawdopodobnie w podziemiach miała się mieścić fabryka zbrojeniowa, krąży pogłoska o niedoszłej do skutku produkcji rakiet V-2. Wszystko stałoby się może realne, gdyby nie fakt, iż Niemcy nagle musieli zaprzestać dalszych prac na terenie wzgórza ze względu na wkraczające w te okolice wojska sowieckie i koniec drugiej wojny światowej. Co dokładnie miało mieścić się w podziemiach będzińskich, do tej pory praktycznie nikt nie wie.

Lokalizacja: Będzin k. Sosnowca, woj. śląskie.

Wysokość otworów: ok. 300 m n.p.m.

Długość systemu: ok. 700 m.

Zwiedzanie jest proste, korytarze szerokie i obszerne. Podczas penetracji trzeba zachować szczególną ostrożność ze względu na mocno spękany strop.

Mariusz Bąk

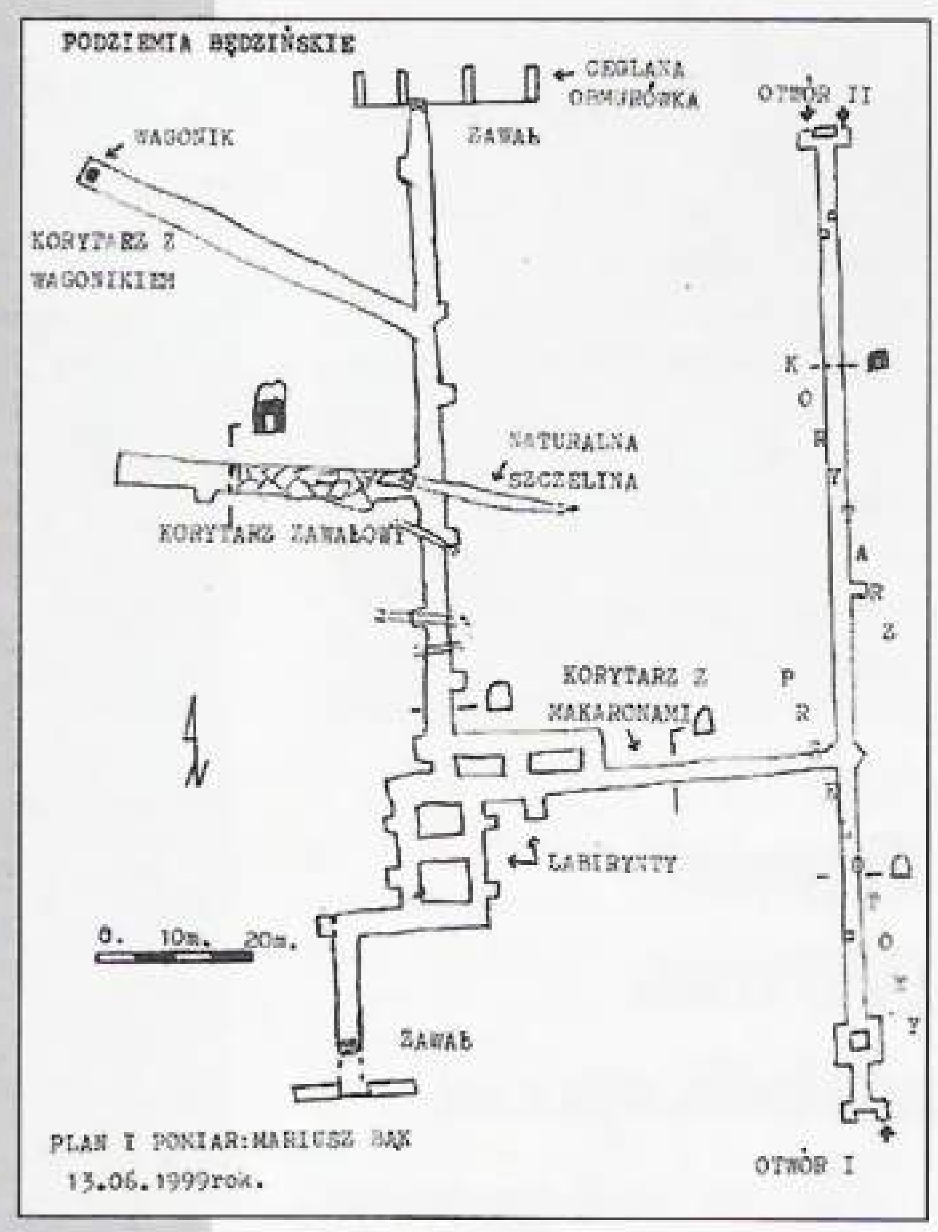

Do powyższej relacji autor listu dołączył wykonany przez siebie plan i zdjęcie fragmentu podziemi (zamieszczamy obok). Jeżeli ktoś z Państwa ma więcej informacji na temat podziemi w Będzinie, prosimy o listy. Panu Mariuszowi dziękujemy za kontakt. Mamy nadzieję, że jeszcze się Pan do nas odezwie.

* * *

Od kiedy uruchomiliśmy stronę internetową „Odkrywcy", otrzymujemy – oprócz tradycyjnych listów – również listy „elektroniczne". Bardzo dziękujemy za wszystkie sygnały, miłe słowa pod adresem czasopisma oraz za wszelkie uwagi krytyczne, które pomagają nam w redagowaniu „Odkrywcy". Na pocztę elektroniczną będziemy odpowiadać także głównie na łamach.

Dziękujemy za niezwykle sympatyczny liścik panu **Jackowi Wójcikowi** z Końskowoli. Serdecznie pozdrawiamy. Dziękujemy też za nadzwyczaj obfitą korespondencję panu **Wojciechowi Oksieńciukowi** – prezesowi zarządu Stowarzyszenia Eksploracja Polska Klub. Pozdrawiamy, życzymy rozwoju organizacji i eksploratorskich przyjemności.

* * *

Czytelnik występujący pod pseudonimem **„Shelti"**. Dziękujemy za nadesłany tekst. Nie wykorzystamy go, ale miło, że zechciał Pan do nas napisać. Przy okazji uprzejmie przypominamy, że redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. (Zastrzeżenie to widnieje w stopce redakcyjnej.) Życzymy powodzenia. Adres internetowy podany przez Pana zamieszczamy w dziale „Odkrywanie w Internecie".

* * *

Kolejny raz serdecznie do Państwa apelujemy: nie proście nas o podawanie adresów osób, z którymi chcielibyście się skontaktować, gdyż nie jesteśmy upoważnieni do przekazywania takich informacji. Nie pośredniczymy również w wymianie korespondencji. Możemy jedynie opublikować na łamach „Odkrywcy" Państwa adres prosząc daną osobę o kontakt z Wami. Jeżeli takie rozwiązanie Państwu odpowiada, prosimy to wyraźnie napisać w liście do nas. Niniejsze wyjaśnienie kierujemy tym razem szczególnie do panów **Krzysztofa Kuleszy** z Białegostoku (?) i **Sławomira Zaspy** z Łodzi.

* * *

Tymczasem żegnamy się, następna „skrzynka" za miesiąc. Zadbajcie Państwo, by była pełna. Pozdrawiamy bardzo ciepło.

(mar)

Odkrywanie w Internecie

Pamiętajcie o archeo...
http://ss10.cc.uni.torun.pl./ksiegarnia/arch.html

Prędzej czy później każdy poszukiwacz zderzy się z problematyką archeologiczną, a przy okazji – etnograficzną. Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu proponuje różne publikacje z tych dziedzin. Może znajdziecie coś dla siebie. Ceny przystępne (już od 1,10 zł).

Stronę poświęconą polskiej literaturze archeologicznej redaguje Mariusz Tuszyński: http://www.torun.pdi.net/~mariusz/archeologia/

Chce „wprowadzić do Internetu całość literatury dotyczącej archeologii". Tymczasem umieszcza publikacje, których autorzy wyrazili na to zgodę. Otworzył również witrynę „Archeologia w Sieci" (mylący skrót – AWS), pomyślaną jako archeologiczne forum internetowe przeznaczone do upowszechniania najnowszych badań oraz prezentowania artykułów dotyczących aktualnych problemów archeologii.

Polarna przygoda
http://www.uni.torun.pl/~geopolar/lato98/glos.html

Zazdrość jest brzydkim uczuciem, ale nie sposób go uniknąć, gdy się czyta relację z XV jubileuszowej wyprawy polarnej UMK na Spitsbergen. Była to, rzecz jasna, wyprawa naukowa i jej uczestnicy nie narzekali na brak zajęć, bo oprócz prac badawczych musieli zadbać również o zwykłe sprawy bytowe. *(Wodę do picia czerpiemy wężem z niewielkiego jeziorka za moreną. Wkrótce jednak woda się w nim kończy. Wszystko wypijamy! Teraz już trzeba nosić wiadrami z innego jeziora, położonego dalej.)* Wszelkie uciążliwości wynagradzała im jednak z nawiązką nieprawdopodobnie piękna polarna przyroda. *Schodzimy do tunelu wewnątrz lodowca. Dookoła ściany lodu, jak w jakiejś kryształowej komnacie. Cała struktura lodu jak na dłoni.* I co, nie chcielibyście tego zobaczyć?...

Dorzućmy jeszcze stronę Marka Kamińskiego, który wprawdzie ostatnio przebywał w skrajnie odmiennej scenerii (przeszedł pustynię australijską), jednak wcześniej zaistniał przede wszystkim jako polarnik, zdobywca obydwu biegunów w jednym roku. (http://www/kaminski.pl/)

Jeżeli chcecie również przeżyć polarną przygodę, dotrzeć do krainy wiecznych lodów, to się tam po prostu wybierzcie. Możecie pojechać śladami Scotta i Shackletona, na Półwysep Antarktyczny, a nawet ruszyć na nartach na biegun południowy. Sezon turystyczny na Antarktydzie trwa od grudnia do lutego. Informacje znajdziecie pod adresem: http://friko1.onet.pl./kr/antarkty/oferta99.htm

Wypada jeszcze dodać, że szokujące są zarówno atrakcje, jak i... ceny.

„Shelti" i skarby
http://www.kki.net.pl/~shelti

To strona zatytułowana „Poszukiwanie skarbów według Sheltiego". Nasz czytelnik „Shelti", zajmujący się internetowym obliczem organizacji Eksploracja Polska Klub, informuje też, że powstał Polski Webring Poszukiwaczy Skarbów – instytucja mająca na celu promowanie i popularyzowanie stron o tematyce poszukiwawczej.
Adres: http://www.kki.net.pl/~shelti/ring.htm

Rycerstwo III Rzeczpospolitej
http://friko/.onet.pl/kr/stkossak/linki/bractwo.html

Zwracaliśmy już uwagę na niezwykle charakterystyczne w ostatnich latach zjawisko, jakim jest rozwój ruchu rycerskiego w Polsce. To specyficzne hobby ogarnęło cały kraj. Na stronie – linki różnych bractw. Zobaczcie też stronę Konwentu Braci Rycerskiej Smoczej Kompanii: http://zdo.wssk.am.wroc.pl/~smocza/linklett.html

Dużo odsyłaczy, m.in. na prywatne strony zwolenników rycerskiej tradycji.

MD, mar

Strona internetowa „Odkrywcy"
www.odkrywca.lm.pl

O tym się pisze

KOLEKCJA BILETÓW

Krzysztof Ciesielski zbiera bilety komunikacji miejskiej. Ma ich ponad dwa i pół tysiąca – niemal ze wszystkich miast i miasteczek naszego kraju. Najwięcej z Wrocławia – 363 jednorazowe i 96 miesięcznych. Najstarszy eksponat pochodzi z 1969 r. i jest to malutki prostokątny bilecik, który po wrzuceniu 20 groszy wyciągało się z automatu „Krab" zainstalowanego we wrocławskich tramwajach. Prawdziwe rarytasy w kolekcji to dwa fałszywe bilety tramwajowe. Największym marzeniem kolekcjonera jest zdobycie biletu z przedwojennego Wrocławia i dziesięcioprzejazdowego abonamentu z lat sześćdziesiątych. – *Kolekcjonowanie to nie tylko zbieranie, ale także spotkania z innymi kolekcjonerami, wyprawy na giełdy staroci w poszukiwaniu ciekawego eksponatu, to wspaniała zabawa, która pozwala zapomnieć o troskach życia codziennego* – mówi Krzysztof Ciesielski.

Jest on prezesem Wrocławskiego Klubu Kolekcjonerów. Spotkania klubu odbywają się raz w miesiącu, a wszyscy zainteresowani mogą uzyskać informację pod numerem telefonu: 373 66 49.

(Wojciech Chądzyński, *Nie tylko zbieranie*, „Słowo Polskie" nr 96)

TAJEMNICE ROGOWSKIEGO ZAMKU

Czy zamek w Rogowie Opolskim wybudowali templariusze? Jakie kryje tajemnice? Opinie naukowców są ostrożne, jednak miejscowi badacze nie mają wątpliwości. Tadeusz Knysz, rogowski historyk, przytacza wiele faktów świadczących o templariuszowskim pochodzeniu zamku. Nadal przekazywane są opowieści o podziemnym tunelu wybudowanym przez zakonników, łączącym Rogów Opolski z krapkowickim Otmętem. Wejście do niego ma znajdować się w dzisiejszej zamkowej kotłowni (jest zamurowane). Początki dziejów rogowskiego zamku nie są znane, bowiem nie zachowały się żadne dokumenty z jego najstarszej historii. W czasach swojej świetności był rodową rezydencją von Haugwitzów. Nie tylko wyremontowali oni zamek, ale także założyli piękny park krajobrazowy, którego resztki możemy podziwiać do dziś.

Obecnie w rogowskim zamku mieści się dział zbiorów specjalnych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu.

(Beata Szczerbaniewicz, *Tajemnice zamku w Rogowie*, „Nowa Trybuna Opolska" nr 89)

SKARBY Z „PRINS FREDERIK"

Przez ponad dziesięć lat wraku statku „Prins Frederik" bezskutecznie poszukiwali Anglicy, Francuzi i Szwedzi. W końcu udało się to niemieckiemu zespołowi pod kierownictwem Klausa Kettlera. Poszukiwania zajęły dwa lata. Przy użyciu ultradźwiękowych skanerów spenetrowano każdy centymetr kwadratowy określonej powierzchni dna morskiego, by następnie spuścić na głębokość 170 metrów zdalnie sterowane roboty z kamerami podwodnymi. Zlokalizowanie wraku kosztowało dotychczas 1,5 miliona marek, drugie tyle pochłonie wydobycie ładunku. Jest jednak o co walczyć. W czerwcu 1890 r. „Prins Frederik" płynął z Amsterdamu na Jawę z ładunkiem 400 tysięcy talarów przeznaczonych na wypłatę dla armii holenderskiej. 21 czerwca doszło do zderzenia z brytyjskim parowcem „Marpessa". Statek poszedł na dno. Obecna wartość monet z jego ładowni wynosi ok. 20 milionów marek. Poszukiwacze skarbów pod wodzą Kettlera zapewne natkną się nie tylko na monety, ale także na niejedną tajemnicę schowaną w ładowniach statku.

(Tadeusz Kaczmarek, *Milionowy skarb na dnie morza*, „Głos Wielkopolski" – 8.07.1999 r.)

TAJEMNICZA MAPA

Podczas budowy zbiornika wodnego w Sułowie ekipa budowlana wycinając starą lipę na wyspie w Kulikowie natknęła się na fragment nieźle zachowanej mapy. Zwój był w kilku miejscach nadpalony, znaleziono go na dnie zmurszałego pnia drzewa, gdzie prawdopodobnie został wrzucony.

Na mapie przedstawione są okolice Kulikowa, widnieją na niej także ręczne dopiski. Na razie oddana została do oceny pracowników Zakładu Badań Kartograficznych Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Ekspertyza wykaże, czy mapa ma jakąś wartość. Mieszkańcy Sułowa twierdzą, że może wskazywać ukryte w czasie II wojny światowej żydowskie skarby.

(Jadwiga Hereta, *Wyspa skarbów*, „Kronika Tygodnia" – 13.07.1999 r.)

KRADZIEŻ NA ZAMÓWIENIE?

Włamano się do kościoła rzymskokatolickiego we Wleniu. Złodzieje wycięli kraty w oknie świątyni. Zabrali wizerunki św. Józefa i Jezusa Konającego z XIX wieku, a także mszalnik, oprawiony i inkrustowany zbiór modlitw. Jak dotąd – eksperci nie oszacowali wartości skradzionych dzieł. Komendant powiatowy policji w Lwówku Śląskim nadkomisarz Henryk Barycki stwierdza: – *Nie wykluczamy, że zrabowane obrazy mogły dołączyć do prywatnej kolekcji.* Funkcjonariusze policji badają także, czy kradzież z Wlenia jest związana z dokonanym dwa miesiące wcześniej rabunkiem obrazów z kościoła w Popielówku.

(Sebastian Leosz, *Zniknęły obrazy*, „Wieczór Wrocławia" – 7.07.1999 r.)

WYBUCHOWA KOLEKCJA

Mieszkaniec gminy Krempna przez dwadzieścia lat zajmował się poszukiwaniem niewypałów, które następnie konserwował i przechowywał w leśnej kryjówce. Zawartość schowka o łącznej masie 250 kilogramów wydobyli saperzy z Dębicy. Było tam m.in. 5 kilogramów sprasowanych kostek trotylu, 18 pocisków artyleryjskich kaliber 75 mm, 4 granaty moździerzowe kaliber 120 mm, 4 miny przeciwpancerne, 11 granatów ręcznych – obronnych i zaczepnych oraz amunicja do karabinów i zapalniki do min przeciwpiechotnych. Akcja wydobywania niewypałów trwała kilkanaście godzin. Na każdy z nich zakładano specjalną kotwicę i dopiero po około 15 minutach można było przenieść niewypał do samochodu. Znaleziska zdetonowano na poligonie.

(Ewa Gorczyca, *Leśny arsenał*, „Nowiny" – 23/25.07.1999 r.)

NIELEGALNY MAGAZYN DZIEŁ SZTUKI

Krakowska policja odnalazła w mieszkaniu 57-letniego krakowianina i w należącym do niego sklepie delikatesowym 50 obrazów, z których większość pochodzi z głośnych ostatnio w Krakowie kradzieży. Są to płótna m.in. Vlastimila Hofmana, Wojciecha Weissa, Leona Wyczółkowskiego, Teodora Grotta, Stefana Rostworowskiego oraz Juliusza, Wojciecha i Jerzego Kossaków. Znaleziono również obraz sygnowany znakami Galerii Lwowskiej. Zatrzymany przez policję mężczyzna trudnił się handlem dziełami sztuki, także kradzionymi. Podczas rewizji znaleziono u niego nie tylko obrazy, ale też wyroby ze srebra, porcelany, cenne ramy do obrazów, aparaty fotograficzne, telefony komórkowe, narty, rowery, dowody osobiste, paszporty, broń białą i gazową, na którą nie miał pozwolenia. Policja zwróciła się z apelem do krakowian, których mieszkania zostały okradzione z dzieł sztuki, o kontakt telefoniczy pod czynnym całą dobę numerem 610 24 52.

(woko, *Delikatesowy koneser malarstwa*, „Gazeta Krakowska" – 23.07.1999 r.)

HELSKIE FORYFIKACJE

Na wniosek Fundacji Ochrony Zabytków Militarnych Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii, wspieranego przez Towarzystwo Przyjaciół Fortyfikacji, do rejestru zabytków województwa pomorskiego wpisane zostały fortyfikacje polskie Rejonu Umocnionego „Hel" na Półwyspie Helskim, zbudowane w latach trzydziestych, oraz fortyfikacje niemieckie z okresu drugiej wojny światowej. Obiekty bojowe Rejonu Umocnionego Hel powstawały w latach 1931-39 i stanowią przykład polskiego budownictwa obronngo. Podczas wojny polsko-niemieckiej w 1939 r. odgrywały ważną rolę w obronie Półwyspu Helskiego. „Do rejestru zabytków wpisano sześć baterii artyleryjskich składających się ze schronów bojowych i amunicyjnych, w tym baterię artylerii nadbrzeżnej (im. Laskowskiego) mającą w 1939 r. armaty 152,4 mm oraz ośrodek oporu Jastarnia składający się z 4 ciężkich schronów bojowych. Zabytkiem stała się także niemiecka bateria artylerii nadbrzeżnej, zbudowana na zapleczu portu wojennego w Helu, zaprojektowana dla dział 406 mm. Jest to jedyna konstrukcja dla dział tak wielkiego kalibru w basenie Morza Bałtyckiego – unikatowy zabytek światowej sztuki wojskowej" – twierdzi autor artykułu.

(T.S., *Fortyfikacje na Helu*, „Rzeczpospolita" – 17/18.07.1999 r.)

MUZEUM Z DALA OD SZLAKÓW

Przy kościele parafialnym Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny i św. Anny w Lubawie od pięciu lat istnieje muzeum parafialne. Na ekspozycji prezentowane są sakralne dzieła sztuki pochodzące z Lubawy i okolic. Wśród dzieł sztuki średniowiecznej na szczególną uwagę zasługuje Pieta z początku XVI wieku, pochodząca prawdopodobnie z warsztatu elbląskiego. Zgromadzono tu również średniowieczne sprzęty liturgiczne, ołtarzowe lichtarze i kociołek na wodę święconą. W ekspozycji wyróżniają się XVIII-wieczne obrazy epitafijne zawieszone nad grobowcami. Trzy spośród płócien pochodzą z kościoła w Lipach. Interesujące są także plakiety wotywne z XVII i XVIII wieku i relikwiarz św. Apolonii. Oficjalna nazwa muzeum brzmi Muzeum Ziemi Lubawskiej. Jego pomysłodawcą i twórcą jest miejscowy proboszcz i dziekan ks. kanonik Mieczysław Rozmarynowicz, który stale powiększa kolekcję, stara się o zabezpiecznie cennych zabytków i ich renowację.

(ks., Jan Rosłan, *Parafialne muzeum*, „Obserwator" – 18.07.1999 r.)

Jola Dudziak

Z „Odkrywcą" przez świat

„LE PROSPECTEUR"

(„Poszukiwacz") to dwumiesięcznik wydawany przez Association Francoise des Prospecteurs (Francuskie Stowarzyszenie Poszukiwaczy). Ce-

Tak wyglądał pierwszy numer dwumiesięcznika wydawanego przez Francuskie Stowarzyszenie Poszukiwaczy (AFP)

lem AFP jest propagowanie detekcji jako formy spędzania wolnego czasu oraz informowanie poszukiwaczy o ich prawach i obowiązkach. Towarzystwo organizuje w różnych regionach Francji rajdy, w których mogą uczestniczyć wszyscy zainteresowani poszukiwaniami, a także zajmuje się gromadzeniem wszelkich informacji dotyczących detekcji, szczególnie przy użyciu wykrywaczy metali.

Organizacja została założona w 1992 r. przez panią Anne Javel, obecnie prezydentem jest Georges Herment (który notabene ma polskie korzenie). AFP zrzesza 2030 poszukiwaczy z Francji, Szwajcarii, Niemiec, Anglii, Portugalii, a nawet z USA i Australii. Przedmioty najczęściej przez nich odnajdywane to wszelkiego rodzaju monety, klejnoty, narzędzia, stare i całkiem współczesne. Bez wątpienia najwspanialsze znalezisko, jakim może się poszczycić jeden z członków AFP, to 70 kilogramów złotych dolarów amerykańskich z XIX wieku. Wykopał je w pewnym ogrodzie w okolicach Paryża.

Oto adres, pod którym można kontaktować się z AFP:
22, rue Charles Baudelaire
75012 Paris

* * *

„Le Prospecteur" nr 26/27 – wydanie specjalne z grudnia 1998

Wybrane materiały:

• Mieszkania jaskiniowców
(Niezwykła atmosfera pierwszych ludzkich siedzib i skarby, które można tam znaleźć.)

• Czy jest nadzieja, że zapanuje zgoda między poszukiwaczami i archeologami?

• Zamek Septmonts
(Opis i historia zamku, z którym związany był Viktor Hugo.)

• Puls Star II
(Różne techniki sondowania, opis urządzeń do wykrywania.)

• Konserwowanie i odnawianie antyków z metalu

• Te kamienie spadające z nieba
(Obawy i przesądy antyczne związane z meteorytami, pierwsze opisy upadku meteorytów w Europie.)

• Militaria

* * *

XXIV Rajd AFP („Le Prospecteur" nr 26/27)

Trzy pokolenia Francuzów (i nie tylko) bawią się każdego roku na Wielkim Rajdzie Poszukiwaczy, organizowanym przez AFP w najciekawszych zakątkach Francji.

W ubiegłym roku były to okolice Saumur, słynące ze wspaniałych winnic, lasów i jaskiń wydrążonych w skałach. Od dziesiątej rano uczestnicy rajdu przemierzali teren wielkości 3000 metrów kwadratowych w poszukiwaniu upragnionych żetonów. Przy okazji odnaleziono również kilka monet z różnych epok, a nawet pieczęć. Późnym popołudniem nadszedł moment kulminacyjny. Wszyscy uważnie spisali numery znajdujące się na odnalezionych żetonach i niecierpliwie czekali na losowanie. Nagród było wiele, m.in. wykrywacze metali, złote monety, torby, łopatki... Wysiłek większości poszukiwaczy, w tym licznych dzieci, został wynagrodzony. Uczestnicy XXIV Rajdu AFP rozeszli się we wspaniałych humorach, wymieniając uściski i adresy.

Redaktor naczelny „Le Prospecteur" Jean Michel Besse
fot. Agata Konińska

Agata Konińska

Poszukiwacze tacy jak my... XXIV Rajd AFP.
fot. „Le Prospecteur"

Fortyfikacje od kuchni

Otrzymaliśmy książkę Anny Kędryny i Roberta Jurgi pt. „Wyposażenie socjalne obiektów fortyfikacji niemieckiej 1933-1944". Jej celem jest, jak piszą autorzy we wstępie, „próba przedstawienia elementów wyposażenia socjalnego niemieckiego obiektu militarnego z okresu II wojny światowej oraz próba zwrócenia uwagi na istotną sprawę, jaką jest człowiek w fortyfikacji". Publikacja, bogato ilustrowana rysunkami i zdjęciami, zainteresuje z pewnością głównie miłośników fortyfikacji, ale może również zaciekawić inne osoby lubiące historię, ponieważ przedstawia stosunkowo mało znane zagadnienia. Książkę można zamówić za zaliczeniem pocztowym pod adresem:
Robert M. Jurga,
Boryszyn 33,
66-218 Lubrza.
Cena 20 złotych plus koszty przesyłki.

„Przegląd Lotniczy"

Czytelnicy „Odkrywcy" znają już „PLAR" – miesięcznik lotnictwa sportowego i amatorskiego. Prezentowaliśmy go na naszych łamach w numerze 6(12)/99. Przypomnijmy, że oprócz artykułów związanych ściśle z podniebnymi sportami, w czasopiśmie tym znajdują się materiały poświęcone historii lotnictwa i historycznym „lotniczym" zagadkom.

W nadesłanym numerze wrześniowym, w dziale „Wrakowisko", zamieszczono tekst Michała Muchy zatytułowany „Tajemnica jeziora Stolsko". Traktuje on o „wyśledzonej" przez autora historii amerykańskiego bombowca zwanego Latającą Fortecą, którego szczątki wydobyli płetwonurkowie z tegoż jeziora w 1989 i w 1995 r. (O skrzydle ze Stolska wspomina Jerzy Janczukowicz w „Odkrywcy" nr 7/99.) Zapraszamy do lektury.

Adres Redakcji:
00-654 Warszawa
ul. Śniadeckich 17
tel. 022 621 92 66,
tel./fax 022 622 08 66

(mar)

Kontakt z Michałem Muchą:
michalm@jmpolska.com

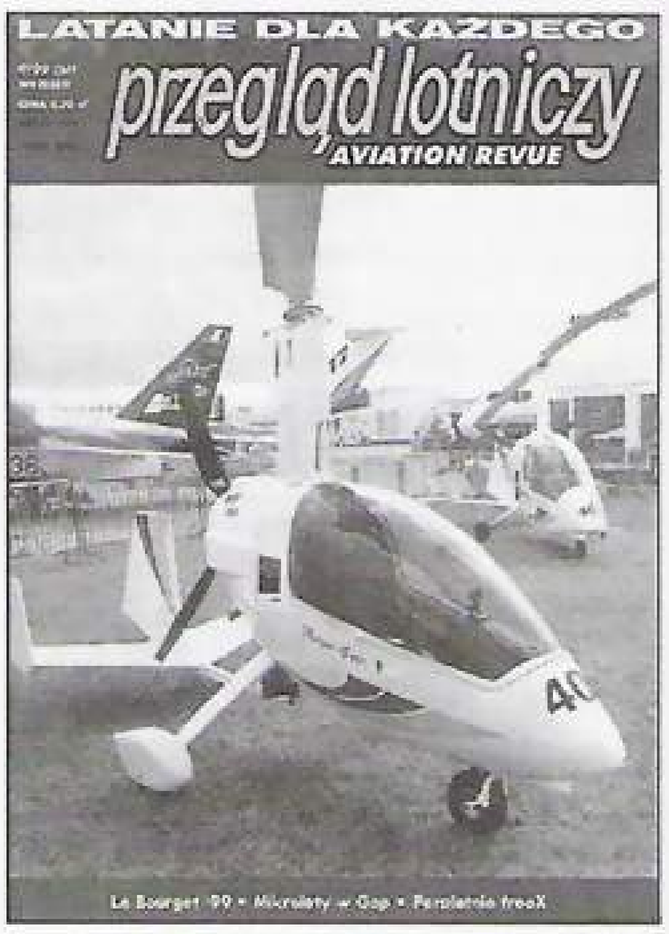

Lubię konkrety

ROZMOWA Z JANUSZEM SKOWROŃSKIM – AUTOREM KSIĄŻKI „SKARBY III RZESZY. TAJEMNICE ZAMKU CZOCHA”

– Twoja książka o tajemnicach zamku Czocha wreszcie pojawiła się na rynku księgarskim.

– Tak. Wydawca – Andrzej Zasieczny z Agencji Wydawniczej „Cinderella Books” w Warszawie – zaproponował mi wydanie książki jeszcze pod koniec 1996 roku. I od razu zamieścił ją w planach wydawniczych na 1997. Katalog poszedł „w Polskę” no i zaczęło się. Telefony, listy, maile elektroniczne, niekończące się pytania – kiedy będzie książka?

Tymczasem nie było, bo doszło wiele nowych faktów, zdarzeń, dotarłem do nowych świadków i dokumentów. Musiałem to wszystko sprawdzić, spisać i zweryfikować. Stanąłem na stanowisku, że należy zrobić tę książkę porządnie, by za dwa miesiące nie było „wydania drugiego, poprawionego” czy „całkowicie zmienionego”. Wydawca poszedł mi na rękę, jednak w maju powiedział, że zamykamy sprawę. Uznałem, że to dobry moment i podczas wakacji „sprężyłem się”.

Janusz Skowroński
fot. z jego książki „Skarby III Rzeczy. Tajemnice zamku Czocha”

– Były jednak „przecieki”...

– Rozumiejąc przyszłych Czytelników i chcąc być wobec nich w porządku, przekazałem „Exploratorowi” fragment „Tajemnic”. Wydrukowali i na krótko miałem spokój z pytaniami o całość roboty. Dałem sygnał, że robota w toku.

– Wiem, że długo gromadziłeś materiały.

– Sześć lat. To sześć opasłych segregatorów, tysiące przejechanych kilometrów, mnóstwo zapisów dyktafonowych, kilka kaset filmowych, setki zdjęć. I bardzo wielu poznanych ludzi. Powstał z tego dokument, który ktoś ostatnio nazwał „dziennikarskim śledztwem”. Podoba mi się to określenie, bo rzeczywiście książka rozwijała się w czasie. Gdy do niej siadałem, nie miałem pojęcia, że dotknie Bieruta, Gomułki i innych prominentów. Wyszło w trakcie, gdy zaczęły mówić dokumenty. Jak do nich docierałem – jest w książce. Muszę jednak powiedzieć, że docieranie do nich nie było łatwe, ale trud się opłacił.

– Co było najważniejsze?

– Sztuka wyciągania właściwych wniosków. Bo z faktami trudno polemizować, choć historia zamku Czocha zna sporo przypadków, gdy fakty przekłamywano. „Odkręciłem” teorię o dwóch wyjeżdżających stąd ciężarówkach, z których pierwsza wpada na granicy, by druga spokojnie przejechała, o niemieckim pochodzeniu lubańskiego wicestarosty, z którego przez lata robiono volksdeutscha, o rosyjskim pochodzeniu Gütschowa, ostatniego właściciela Czochy i szereg innych.

– Dotykasz samego Günthera Grundmanna.

– To postać, bez której nie może obejść się żadna współczesna publikacja o ukrytych lub zaginionych podczas ostatniej wojny skarbach. Czytelnicy „Odkrywcy” znają z pewnością te sprawy. Ja poszedłem znacznie dalej – kluczem były wspomnienia Grundmanna w wydanej po wojnie w Niemczech książce „Heimatbuch des Kreises Lauban in Schlesien”. Dlaczego? Bo w lubańskiej dzielnicy Księginki mieszkali przed wojną jego dziadkowie. To nie pozostało bez wpływu na późniejsze losy przyszłego konserwatora Provinz Schlesien.

Mogę tylko dodać, że w sprawie Grundmanna nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Powielanie tekstów „o skrytkach” według scenariusza „firma przewozowa Knorr – ucieczka z Holbeinem do Coburga – lista Gębczaka” to trochę już dziś za mało dla wyrobionego Czytelnika.

– Można szybko wkroczyć na niebezpieczne ścieżki fantazji...

– Jeśli mogę się czymś pochwalić, to tym, że – na szczęście – nie zostałem obdarzony darem fantazjowania. Lubię fakty, konkrety, lubię sprawdzać wypowiedzi świadków. Nie umiałbym napisać o skarbach w stylu science-fiction. Sprawa jest albo konkretna, albo jej nie ma. To bardzo pomocne założenie i naprawdę dobra rada dla innych piszących. Bo tu u nas na Dolnym Śląsku jest wciąż wiele do odkrycia. I zawsze powtarzam – obowiązuje duża porcja cierpliwości, przygotowanie teoretyczne i łut szczęścia. Tak, jak było to choćby w przypadku odnalezienia planów przebudowy zamku Czocha przez Bodo Ebhardta czy nieznanych fotografii rodzinnych Ernesta Gütschowa.

– A skarby?

– Też są! Niech uważni Czytelnicy przeczytają książkę do końca i... zaczną myśleć! Mają „na tacy” podane, czego należy szukać. I to wcale nie z łopatą i wykrywaczem. I niech napiszą. Odpowiem na każdy list, bo wiedzą o dziedzictwie kultury należy się dzielić, a nie ją ukrywać. „Znaleźne” – to jeszcze nie wszystko.

– Myślisz już o następnej książce?

– Ilość zgromadzonego materiału każe poważnie zastanowić się nad czymś nowym. Taki sens miała moja rozmowa z Andrzejem Zasiecznym, gdy przywiózł pierwsze egzemplarze „Tajemnic” z drukarni. W tej książce ograniczyłem się z konieczności do zamku Czocha. Ale „nosi mnie” po okolicy. I pewnie coś z tego będzie. Może kluczem będzie wspomniany już Grundmann, może Kwisa i tajemnicze wydarzenia nad tą rzeką? Może „Lubań, jakiego nie znacie” ? Jeszcze nie wiem, ale „roboty trwają”.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Marek Dudziak

Książka Janusza Skowrońskiego to pierwsza publikacja dokumentująca losy skarbów związanych z zamkiem Czocha. Jest rezultatem ogromnej pracy badawczej, wręcz detektywistycznej. Zawiera bardzo dużo relacji świadków, fotografii, dokumentów (niektóre są sensacyjne w treści). Polecamy! (Agencja Wydawnicza „Cinderella Books” Andrzej Zasieczny, ul. Kolorowa 1, 02-495 Warszawa)

Zastanawiam się czasami, jak i kiedy to wszystko się zaczęło. Pisząc „to wszystko” mam na myśli moje zainteresowania zamkiem Czocha i jego fascynujące dzieje. Może należy cofnąć się do początku lat sześćdziesiątych, kiedy to mnie, biegającego jeszcze w krótkich majteczkach chłopaka zabrał ojciec tu, nad Czochę, a raczej prawidłowo – Jezioro Leśniańskie? Nad którym jego zakład pracy, lubański oddział NBP, stawiał pierwsze, ściągnięte gdzieś z Wybrzeża, drewniane, (...) domki letniskowe.

Zapamiętałem z rozmów dorosłych, że nie opodal stoi zamek, a ze strzępów słów docierało do mnie tylko tyle, że jest niedostępny i pełen tajemnic, z wojskowymi strażnikami przy bramach... Och, jakże korciło mnie (...) zobaczyć co jest w środku, poznać jego tajemnice i przeżyć prawdziwą przygodę!

W któreś kolejne wakacje (...) wreszcie udało się! Byłem już uczniem piątej, może szóstej klasy, gdy znad jeziora ruszyłem na podbój niedostępnego, bo wojskowego przecież obiektu. Coś tam nakłamałem przy bramie i ku memu największemu zdziwieniu bez trudu znalazłem się na zamkowym dziedzińcu, a potem w jego wnętrzach. Później okazać się miało, że trafiłem akurat na zmianę turnusu i wzięto mnie za dziecko kogoś, kto przed chwilą przyjechał, rozpakowuje swoje bagaże i w całym tym zamieszaniu, zapomniał o takim jak ja „drobiazgu”. Swobodnie przedostałem się przez Salę Rycerską. Kolejne drzwi, do Sali Marmurowej, puściły po naciśnięciu klamki. Wszedłem, zamykając je cichutko za sobą. Poczułem się jak w wyśnionym, bajecznym raju. Zbroje, miecze halabardy, mnóstwo broni, część w gablotach pod szkłem. Można było dotknąć, nikt przecież nie widział i nie krzyczał!

Trafiłem na jakiś kontakt. Wszystkie te gabloty rozbłysły w jednej chwili, w pełni światła ukazując całą swą zawartość. Później natrafiłem na jedno z tajemnych przejść, które przesunęło się pod naciśnięciem ręki i... serce podeszło mi do gardła! Bałem się zapuszczać za daleko, ale ciekawość w tym wieku ogromną przewagę nad strachem. Zwiedziłem jeszcze górne kondygnacje oraz piwnice. Po dobrych kilku godzinach niesiony niesamowitymi wrażeniami wróciłem do ośrodka nad zaporą. Oczywiście, moim gorączkowym relacjom nikt nie dawał wiary. Wówczas samo wejście do zamku było dla przeciętnego śmiertelnika naprawdę niemożliwe. Swój wyczyn postanowiłem zweryfikować następnego dnia. Gdy nad jeziorem zebrała się nas grupka dzieciaków, żywo ruszyliśmy w kierunku zamku, próbując wspólnie dostać się do jego środka. Bezskutecznie. Wówczas nie wiedziałem – ba! – nie przewidywałem nawet, że zamek otworzy się (dosłownie) dla mnie ponownie dopiero po przeszło dwudziestu latach, a po dalszych dziesięciu zacznie odsłaniać swe tajemnice. I o tym traktuje ta książka...

(fragment wstępu)

Kontakt z Januszem Skowrońskim:
„Przegląd Lubański”
59-800 Lubań
ul. Tkacka 4

Czytelnikom „Odkrywcy”
z najlepszymi życzeniami
[podpis]
Zamek Czocha, 19.09.99 r.

...na wszystkie żywioły!
LM S.A.
oraz „GREVITA" S.A. w Trzebini
Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom naszych Klientów jako jedni z pierwszych w kraju zaprojektowaliśmy system odzieży termoaktywnej na bazie membrany całkowicie krajowej produkcji. Dzięki współpracy z najlepszymi laboratoriami odzieżowymi w Polsce pochodząca z „Grevity" membrana POROTEX posiada parametry porównywalne do zagranicznej konkurencji. Udowodniliśmy to otrzymując na kurtkę z tej serii Znak Bezpieczeństwa „B". Poszukiwania wyrobów niezawodnej jakości łączymy też z możliwością testowania ich walorów użytkowych przez ludzi, którzy stawiają sobie cele najwyższe – przeżycie w warunkach ekstremalnych, walkę z samym sobą i potęgą natury. Naszymi ekspertami są Romek Koperski, Arek Pawełek, Wojtek Moskal oraz reprezentacja I Pułku Specjalnego Komandosów z Lublińca. Doświadczenia tych ludzi pozwalają tak przygotować nasze wyroby, tak dobrać surowce i dodatki do ich produkcji, aby sprostać najwyższym wymaganiom.
Wszywka POROTEX
POROTEX
Wszywka firmowa LM
Napy produktów zawierają logo LM
KLUB GARNIZON
Odzież LM zawiera oryginalne wyroby firm:
– 3M
– ARCTEX
– COATS
– GREVITA
opatrzone charakterystycznymi metkami
3M Scotchlite™ Reflective Material
ARCTEX
COATS
POROTEX
62-510 Konin, ul. Zakładowa 14
tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09
bezpłatna infolinia techniczna 0-800 162 300
e-mail: bhp@lm.com.pl
http://www.bhp.lm.com.pl